

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Co czują nasze czworonogi, kiedy wyjeżdżamy na urlop?

● Czy zwierzęta za nami tęsknią? Wiedzą, jak długo ich opiekunów nie ma w domu?

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80 LAT

Piątek
1.08.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 177 (24 538) // Rok 80
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

Wejść do wnętrza starej chaty i zajrzeć w jej zakamarki... str. 6-7



Spowolnienie to rewolucja.
Monika Surowiec i jej moda
str. 8-9

Jaki był Lady Jazz Festival?
Gdynia – królestwo wielkich dam jazzu
str. 16-17



Magazyn Puls

Jan Ołdakowski apeluje:
Przekazuj pamięć, bo zniknie, jeśli nie podamy jej dalej
str. 22-23

HISTORIA

Agnieszka Cubala o cichych bohaterkach

Peżetki to naprawdę niezwykle kobiety. Były członkiniami organizacji Pomoc Żołnierzowi, stanowiącej Podwydział Biura Informacji i Propagandy KG AK. Podczas okupacji zajmowały się pomocą żołnierzom rannym, „leśnym”, czyli partyzantom, więźniom, inwalidom. Natomiast w czasie Powstania Warszawskiego organizowały gospody żołnierskie PZ, które miały stworzyć walczącym namiastkę domu.

Czytaj str. 24-25

FELIETON NA FALI

To dzięki ekologom nie zaląło Gdańsk

Naukowcy przez lata przewidywali, pisali i apelowali, a politycy pokroju Korwina-Mikke to ignorowali. Czy zmiany klimatu można było całkowicie powstrzymać? Trudno powiedzieć.

Czytaj str. 2

ROLNICTWO INTENSYWNE OPADY WYRZĄDZIŁY OGROMNE SZKODY NA POLACH

Rok zapowiadał się rekordowy...



Wody na polach niemal po kolana. Wszystko może zgnieć. Zboże, kukurydza, rzepak, ziemniaki, warzywa... Zapowiadały się rekordowe zbiory. Teraz rolnikom z Żuław trudno nawet rozmawiać o stratach, jakie wyrządziła poniedziałkowa ulewa. W ciągu niecałej doby spadło w części regionu tyle wody, ile wynosi średnia opadów deszczu z czterech miesięcy **str. 4-5**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Janusz Korwin-Mikke 28 lipca napisał na platformie X: „To jak w końcu? Płonie planeta czy tonie? Susza czy ulewa? Upalna katastrofa czy wodny armagedon? Bo już się gubię w tej narracji”.

Panie Janusz, chciałbym Panu wytłumaczyć, że jedno nie wyklucza drugiego, a nawet jedno jest od drugiego zależne. Zasada jest prosta: gazy cieplarniane wytworzyły nad naszą planetą rodzaj kołdry, przez którą się szybciej ogrzewa. Dokładnie tak samo jak Pan przykryty grubą zimową kołdrą w lecie. Poci się Pan i tak samo Ziemia. I to co wypoci nad Morzem Śródziemnym czy Adriatykiem, gdzie notujemy obecnie ekstremalnie wysokie temperatury, to później wędruje w postaci chmurnej pary wodnej nad Polskę albo Czechy i nas zalewa. Meteorolodzy stworzyli nawet termin Niż Genueński, który co roku w ten sposób się tworzy, wędruje i już pustoszy nasz region w ubiegłym roku i obecnym.

Podobne cyklony jak Niż Genueński, tworzą się w wielu miejscach na świecie, wysokie temperatury i wielkie powodzie dotykają również Stany Zjednoczone czy Chiny. Ekstremalne upały na południu, sięgające nawet 50 stopni, zwiastują ekstremalne ulewy gdzie indziej. To prosta zależność.

I teraz najciekawsze: takie ekstremalne zjawiska pogodowe naukowcy przewidywali już w latach 70-tych XX wieku, kiedy zaczęto na poważnie mówić o zmianach klimatu i globalnym ociepleniu! W latach 80-tych, na wniosek ONZ powołano Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu

FELIETON NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”



TO DZIĘKI EKOLOGOM NIE ZAŁAŁO GDAŃSKA

(IPCC), który przez te blisko 40 lat stworzył wiele raportów na ten temat, przestrzegających przed globalnym ociepleniem i apelujących do polityków o podjęcie działań w celu powstrzymania zmian klimatu. Więcej - od 30 lat, co roku odbywają się szczyty klimatyczne (COP), podczas których naukowcy opowiadają o tych zagrożeniach i kończą je alarmującymi apelami do polityków. I tak od prawie pół wieku naukowcy słę te apele do polityków, a w roku 2025 Janusz Korwin-Mikke wychodzi cały na białą, i pyta „ale o co chodzi, bo już się gubię”.

Tak to niestety wygląda. Naukowcy przez lata przewidywali, pisali i apelowali, a politycy pokroju Korwina-Mikke to ignorowali. Czy zmiany klimatu można było całkowicie powstrzymać? Trudno powiedzieć. Na pewno można było je spowolnić, albo lepiej zabezpie-

czyć się przed ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi wywołanymi globalnym ociepleniem. Działania te jednak sabotowali różnej maści politycy, którzy wprost podważali istnienie zmian klimatu wywołane działaniami człowieka, wspierali energetykę opartą o paliwa kopalne i lekceważyli głos naukowców, bo uważają, że sami wiedzą wszystko najlepiej.

Byli też jednak politycy i społecznicy, którzy zachowywali się inaczej i podejmowali działania zabezpieczające. I Gdańsk jest tu dobrym przykładem. Po wielkich ulewach, które nawiedziły miasto na początku XXI wieku, zrealizowano wiele inwestycji przeciwpowodziowych. W 2016 roku z inicjatywy aktywistów ekologicznych zorganizowano panel obywatelski z losowo wybranymi mieszkańcami, który zakończył się konkretnymi rekomendacjami do władz - jak za-

bezpieczyć Gdańsk przed kolejną powodzią. I wiele z tych rekomendacji przez ostatnie lata wdrożono. W sumie od 2001 roku na infrastrukturę przeciwpowodziową Gdańsk wydał ok. 600 mln zł, z czego blisko 260 mln zł pochodziło z funduszy Unii Europejskiej. Powstało 30 nowych zbiorników retencyjnych, a pojemność retencyjna Gdańska zwiększyła się ponad pięciokrotnie. I to m.in. dzięki tym działaniom Gdańsk obronił się przed wielką ulewą z poniedziałku, w przeciwieństwie do innych mniejszych miejscowości naszego regionu, których nie było stać na takie inwestycje.

Zbiorniki retencyjne to jednak nie wszystko. Najlepszą retencją w mieście jest po prostu zieleń. Podziękowania należą się więc wszystkim aktywistom ekologicznym, którzy w ostatnich latach angażowali się w protesty przeciwko wycincom w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym, który jest najważniejszym obszarem retencyjnym chroniącym nas przed powodzią. Podziękowania należą się wszystkim, którzy chronili zieleń w Trójmieście np. w pasie nadmorskim czy na Dolnym Mieście przy opływie Motławy. Podziękowania dla wszystkich, którzy angażowali się w ochronę miejskich drzew i sadzenie nowych. I w końcu podziękowania dla wszystkich, którzy krzewili świadomość ekologiczną, bo jak widać po Korwinie-Mikke, nadal jest ona niewielka wśród sporej części społeczeństwa. Wszystkim ekologom więc bardzo dziękuję za ich aktywizm, a niektórym politykom czas już podziękować za ich ignorancję.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

21°C
14°C



Wiatr pld.
17 km/h

Uwaga
Częściowo słonecznie i przelotne opady

Sobota

23°C
13°C



Wiatr pld.
18 km/h

Uwaga
Możliwe przelotne opady

Niedziela

23°C
14°C



Wiatr pld.
13 km/h

Uwaga
Przelotne opady

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

- numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

- telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

- infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Tym razem z powietrza uchwycony został fragment obiektu, z którego sąsiedztwa nie wszyscy bywają zadowoleni. Wmierzmy, że nasi Czytelnicy i Czytelniczki poradzą sobie z tą zagadką bez większego trudu.

Tradycyjnie, rozwiązanie zagadki będzie można znaleźć w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym Facebooku.
Jacek Wierciński
(AT)

KURSY WALUT

31.07.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	424/431(+)	GBP	490/497(+)
USD	368/375(-)	CHF	454/461(-)
GBP	490/497(+)		
CHF	454/461(-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	424/431(+)
USD	368/375(-)
GBP	490/497(+)
CHF	454/461(-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem:
jacek.wiercinski
@polskapress.pl

Jacek
Wierciński



POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

BOROWCE

75-letnia kobieta oskarżona o ukrywanie mordercy – Jacka J.

- Do Sądu Rejonowego w Myszkowie skierowano akt oskarżenia przeciwko Teresie D. 75-latką odpowie za utrudnianie postępowania karnego przez ukrywanie sprawcy potrójnego zabójstwa, Jacka J. - poinformował prok. Tomasz Ozimek z Prokuratury Okręgowej w Częstochowie. Według ustaleń śledczych Jacek J. w Borowcach koło Częstochowy 10 lipca 2021 r. zastrzelił swojego brata, bratową oraz bratanka. Mężczy-

zna ukrywał się przez ponad trzy lata. Jego zwłoki znaleziono 19 lipca 2024 r. w leżącej nieopodal Dąbrowie Zielonej. „Przesłuchiwana Teresa D. częściowo przyznała się do zarzucanego jej przestępstwa i wyjaśniła, że Jacek J. przyszedł do niej 1 listopada 2023 roku w godzinach wieczornych” - informuje prokuratura. Śledczy sądzą jednak, że ukrywała Jacka J. przez dłuższy czas. Oprac. Anna Nagel | PAP

WARSZAWA

81. rocznica wybuchu Powstania



FOT. SZYMON STARNAWSKI

Dzisiaj o godzinie 17.00, w 81. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, w Warszawie oraz wielu innych polskich miastach zawijają syreny alarmowe, aby oddać hołd i uczcić pamięć bohaterów tego zrywu przeciw hitlerowskiemu Niemcom okupującym stolicę. Sygnał będzie ciągły i potrwa jedną minutę. | PAP

SZCZECIN

Stanisław Gawłowski skazany

Sąd Okręgowy w Szczecinie skazał senatora Stanisława Gawłowskiego na 5 lat więzienia w tzw. aferze melioracyjnej. Został uznany winnym m.in. przyjęcia łapówek. Sąd orzekł mu też m.in. karę 180 tys. zł grzywny i zakazał zajmowania kierowniczych stanowisk w państwowych instytucjach i spółkach przez 10 lat.

Wyrok w sprawie afery związanej z nieprawidłowościami przy 26 inwestycjach Zachodniopomorskiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych w Szczecinie zapadł po ponad pięciu latach procesu. Jest nieprawomocny. Stanisław Gawłowski w czasie procesu nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Oprac. Anna Nagel | PAP

WARSZAWA

- Potrzebuję dzisiaj ministrów, którzy podejmą działania w sposób bardzo stanowczy, twardy, bez wahania, i to wymaga pewnych predyspozycji - powiedział w TVN24 premier Donald Tusk, pytany o wybór Waldemara Żurka na szefa MS. - To ten typ człowieka, który pasuje mi do tego profilu - dodał. Tusk stwierdził, że wybór Żurka na ministra sprawiedliwości był motywowany wynikiem wyborów prezydenckich. | PAP

”

Potrzebuję dzisiaj ministrów, którzy podejmą działania w sposób bardzo stanowczy, twardy, bez wahania

Donald Tusk, premier RP

Mentzen mocno o Kaczyńskim. Ostra reakcja polityków PiS

Oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

- Prezes PiS Jarosław Kaczyński to polityczny gangster - powiedział jeden z liderów Konfederacji Sławomir Mentzen. Politycy PiS w ostrych słowach skrytykowali szefa Nowej Nadziei.



FOT. ADAM JANKOWSKI

- Kaczyński to polityczny gangster - stwierdził Mentzen. Jego słowa o prezese PiS wywołały burzę

W ubiegły piątek prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński przedstawił „Deklarację polską” zawierającą 10 postulatów PiS, dotyczących polityki gospodarczej, zagranicznej czy społecznej. Wśród postulatów znalazł się sprzeciw wobec centralizacji UE, nielegalnej imigracji, Zielonego Ładu oraz postulat obniżenia cen mieszkań. W pierwszym punkcie dokumentu znajduje się postulat „NIE dla koalicji z Tuskiem i jego ludźmi”.

Mentzen na prowadzonym przez siebie kanale na YouTube opublikował film, w którym skomentował postulat „Deklaracji Polskiej”, jak również działanie prezesa PiS.

- W tym punkcie chodziło tylko o to, żeby spróbować

zbliżyć mnie do PO, próbować przekonać ludzi, że ja teraz zamierzam działać z Tuskiem, czego oczywiście nie zamierzam robić - powiedział Mentzen. Jak zauważył, określenie „ludzie z sił politycznych Tuska” jest zbyt szerokie, a on sam nie zamierza podpisywać dokumentu, którego zobowiązań nie zamierza dotrzymać i który w przyszłości „zwiąże mu ręce”. Mentzen odniósł się również do koalicji z PiS.

- Kaczyński do tej pory zniszczył, i nie tylko politycznie, ale również fizycznie, psychicznie

każdego poprzedniego swojego koalicjanta. To jest polityczny gangster - ocenił polityk Konfederacji.

- Pamiętacie jego poprzednich koalicjantów? Co się stało z Lepperem? Najpierw stracił partię, wyleciał z polityki, a następnie zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Giertych stracił partię, stracił poparcie, wyleciał z polityki i zwariował. Gowin stracił partię, stracił poparcie, załamał się psychicznie, skończył w jakimś wariatkowie, nie ma go. Ziobro stracił partię, stracił poparcie, stracił zdrowie - wyliczał Mentzen.

W reakcji na słowa Mentzena wiceprezes PiS Przemysław Czarnek opublikował wpis na platformie X.

„Drogi Panie Pośle Mentzen, oszalał Pan? Granice nawet niekulturalnej polemiki zostały przez Pana przekroczone wielokrotnie w tej wypowiedzi” - podkreślił Czarnek.

„Być może jak Pan ochłonie, to dojdzie Pan do wniosku, że warto przeprosić, tak z ludzkich choćby powodów. A tymczasem proszę wykreślić mnie z listy gości tzw. piwa z Mentzenem.

Po takich Pana wypowiedziach po prostu jest to niemożliwe. Kto wie? Może tego właśnie Pan chciał?” - napisał wiceprezes PiS.

Wypowiedź Mentzena skrytykował też inny poseł PiS, Radosław Fogiel.

- Nie chciałbym wchodzić w tego typu estetykę, bo wtedy musiałbym powiedzieć, że Sławomir Mentzen to polityczny dzieciak, bo tak się trochę zachowuje, jak rozwydrzony bachor - powiedział Fogiel na antenie Polsat News. - Mam wrażenie, że chyba jego otoczeniu i samemu Sławomirowi Mentzenowi coś odjechało, peron odjechał - dodał.

Wpis na X zamieścił następnie Mentzen, gdzie odniósł się do reakcji wywołanych przez jego słowa.

„Gdy krytykuję Tuska, słyszę, że to dlatego, że jestem dogadany z PiS. Gdy krytykuję Kaczyńskiego, okazuje się, że chcę dogadać się z Tuskiem. A ja nie chcę być zależny od żadnego z nich. Nie należę do mafii, nie należę do sekty. Idę prosto” - przekazał Mentzen. PAP

Zelenski zatwierdził „główne zasady” porozumienia z USA

Oprac. Karolina Wrońska
Kijów

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski zatwierdził „główne zasady” porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie uzbrojenia - poinformowała agencja Interfax-Ukraina.

- Są to umowy na dużą skalę, które omówiłem z prezydentem (USA Donaldem Trumpem) i mam wielką nadzieję, że uda nam się je wszystkie wdrożyć - powiedział Zełenski w wystąpieniu, nie podając żadnych szczegółów.

Prezydent podkreślił, że Kijów docenia amerykańskie działania, mające na celu wywarcie presji na Kreml w sprawie zawieszenia broni i pokoju w wojnie z Ukrainą. Wyraził również przekonanie, że osią-

gnięte porozumienie „wzmocni oba nasze kraje, a tym samym naszych sojuszników”.

- Właśnie teraz należy działać, aby zmusić Rosję do pokoju. Tak, Moskwa chce dalej walczyć. Ale kwestia polega na potencjale, na zasobach wojennych i pieniądzu. Właśnie dlatego sankcje są przydatne. Właśnie dlatego presja może zadziałać - dodał Zełenski.

Na początku lipca USA wznowiły dostawy broni na Ukrainę po wstrzymaniu tydzień wcześniej przekazywania części pocisków do systemów obrony powietrznej. Jak zapewnił Biały Dom, dostawy wstrzymano w ramach standardowej procedury przeglądu prowadzonej przez Pentagon.

Trump zadeklarował w ostatni wtorek, że daje przywódcy Rosji Władimirowi Putinowi ostatnie 10 dni na dzia-



FOT. PAP/EPA

- Liczymy na to, że wszystko, co dziś ogłaszają Stany Zjednoczone i Europa w sprawie pokoju, zostanie zrealizowane - powiedział Wołodymyr Zełenski

łania w sprawie zakończenia przez niego wojny na Ukrainie, zanim nałoży na Kreml dodatkowe sankcje, choć - jak stwierdził - nie liczy na to, że w tym czasie Rosja zmieni swoje postępowanie.

Również we wtorek Zełenski podkreślił, że po ważnych oświadczeniach Trumpa w sprawie pokoju na Ukrainie Rosjanie kontynuowali ostrzał jego kraju, zabijając i raniąc dziesiątki osób.

Z kolei w nocy ze środy na czwartek Rosjanie przeprowadzili zmasowane ataki na Kijów. Na miasto wystrzelono ponad 300 dronów i osiem rakiet.

Zełenski potwierdził, że w wyniku ataków zginęło sześć osób, w tym sześciolatek chłopczyk; złożył kondolencje rodzinom ofiar. Ranne zostały dziesiątki osób.

- Dzisiaj świat znów zobaczył rosyjską odpowiedź na nasze wspólne z Ameryką i Europą dążenie do pokoju. Nowe pokazowe zabójstwa. Dlatego pokój bez siły jest niemożliwy - powiedział ukraiński prezydent. PAP

ETNOGRAFIA

Wejść do wnętrza starej chaty i zajrzeć w jej zakamarki...
Są jeszcze miejsca, w których czuć ducha przeszłości. Jest taka kociewska wieś nieco ukryta, otoczona lasami. Na skraju Borów Tucholskich, w gminie Osiek leży Kasparus. Wieś wzmiankowana w dokumentach już w połowie XVII wieku.
STR. 6-7



FOT. KINGA FURTAK

KULTURA

Za nami Lady Jazz Festival w Gdyni

Było inaczej niż w zeszłym roku. Inaczej, to znaczy, że było znacznie lepiej – mówi Maciej Farski, współorganizator Energa Ladies' Jazz Festival **STR. 16-17**

SPICHLERZ POD WODĄ. NIEKTÓRZY MÓWIĄ, ŻE NA ŻUŁAWACH ŻNIW NIE BĘDZIE

Wody na polach niemal po kolana. Wszystko może zgnić – zboże, kukurydza, rzepak, ziemniaki, warzywa... Zapowiadały się rekordowe zbiory – rolnikom z Żuław trudno nawet rozmawiać o stratach, jakie wyrządziła poniedziałkowa ulewa. Niektórzy mówią, że żniw w ogóle w tym roku nie będzie

Tomasz Chudzyński

Do tej katastrofy doszło w następujący sposób. Cała wiosna i początek lata były dość mokre. Regularnie padało, upalnych dni było niewiele. Ciężkie gleby na Żuławach były dość mocno nasiąknięte, melioracyjne rowy w znacznej mierze napełnione wodą, a duże akweny regionu, Zalew Wiślany, Zatoka Gdańska, rzeki Wiśła, Szarpawa i inne, również były wypełnione wodą.

W takich warunkach w miniony poniedziałek nad Pomorze nadciągnął niż genueński, mocno uwodniony układ znad Morza Śródziemnego. W ciągu niecałej doby spadło w części regionu tyle wody, ile wynosi średnia opadów deszczu z czterech miesięcy. To tak, jakby do zwykłej szklanki wlać ponad litrową butelkę wody.

W Nowym Dworze Gdańskim, Malborku, Starym Polu woda zalała ulice, bo kanalizacja nie była w stanie odprowadzić naraz takich ilości opadów. Potem wdarła się do piwnic i garaży. Po dwóch dniach akcji usuwania skutków ulewy, wodę udało się z grubsza odpompować.

Ale na polach tak szybko tego problemu załatwić się nie da.

Każdy dołek, każde zagłębienie

Niemal wszystko można zmierzyć i policzyć.

- Na moich polach spadło 151 litrów w ciągu doby, u mojego syna 143. U każdego rolnika na Żuławach to są podobne ilo-

ści – mówi Ryszard Łabędzki, rolnik z Żuław, sołtys wsi Marynowy, niedaleko Nowego Dworu Gdańskiego. - Każdy dołek, każde zagłębienie terenu jest pod wodą. Kanały me-

lioracyjne powylewały. Z pól woda po prostu była w stanie zejść.

- Kiedy spada na taki region jak Żuławy w kilkadziesiąt godzin, od 130 do nawet 200 li-

trów wody, niemal jedna trzecia rocznych opadów, to u każdego rolnika będzie tragedia. Nie ma miejsc, gdzie byłoby lepiej – tłumaczy Andrzej Sobociński, inny rolnik z Żuław.

Ryszard Łabędzki, Andrzej Sobociński, ale też inni rolnicy, z którymi rozmawiamy wskazują na problemy z systemem żuławskiej melioracji. Rowy, które powinny zebrać nadmiar

wody z pól, po ostatniej ulewie nie były w stanie tego zrobić.

- Rowy w wielu miejscach były od dawna nie koszone, nie są pogłębione przepusty, tzw. zastawki nie działają. Część kanałów jest niedrożna, bo blokują je żeremia bobrów. To jest trochę tak, że jak nie ma problemu, to się o kanałach zapomina. A kiedy nadchodzi katastrofa, raz na jakiś czas, to na wszelkie działania jest już za późno – mówi Ryszard Łabędzki.

- Uważam, że problemem jest struktura Wód Polskich. Kiedy były to instytucje lokalne i podlegały marszałkom, miały własny budżet i można było coś zrobić. Po reformie (przeprowadzonej za rządów PiS – red.) to się zmieniło. W każdej sprawie decyduje Warszawa – dodaje Andrzej Sobociński.

Odpowiadające m.in. za meliorację Wody Polskie (RZGW w Gdańsku) informowały od początku kryzysu, że przepompownie mające odbierać wodę z kanałów melioracyjnych działają z maksymalną mocą. Wspierają je mobilne pompy straży pożarnej. Jeśli obniży się poziom wód w rowach melioracyjnych, to spływać do nich zacznie nadmiar wody z pól. Kłopot w tym, że wysoki poziom jest w lokalnych rzekach i na tzw. polderach zalewowych. Nadmiar wody trzeba gdzieś odprowadzić, a tego miejsca zaczyna brakować.

- Dopiero w środę woda w rowach melioracyjnych, które wylewały na pola, zaczęła „schodzić” szybciej. Tu na-



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

W efekcie ulewnych opadów całe hektary zboża „położyły się” na polach

prawdę potrzebna jest pełna moc przepompowni - mówi Sobociński.

Zbiory? Teraz się nie da

Podtopienia widać z dróg przecinających Żuławę. Rolnicy z Żuław zamieszczaają w mediach społecznościowych filmy, na których brodzą w wodzie na swoich uprawach. Niewymłócony jeszcze rzepak, pszenica, kukurydza stoją w wodzie. Podtopione są również plantacje ziemniaków (delikatnych roślin) oraz warzyw. Woda sięga w niektórych miejscach nawet 50 cm.

- Wygląda to fatalnie. Pszenica jest położona, rzepak częściowo powalony i wymłócony od deszczu nawalnego i wiatru, wszystko jest zalane. Rok zapowiadał się rekordowy, ale będzie tragiczny - mówi Andrzej Sobociński.

- Zboża są położone - to całe hektary. Są miejsca, gdzie upraw w ogóle nie widać, tylko lustro wody. Tydzień przed tą wielką ulewą spadł grad, który już wtedy dokonał strat - dodaje Ryszard Łabędzki.

W takich warunkach roślinne uprawy - m.in. zboża i rzepaki, w większości przestaną spełniać parametry wymagane przez spożywczy przemysł. Inna sprawa, że zgodnie z tzw. cyklem technologicznym roślin tuż przed poniedziałkową ulewą, albo tuż po niej, powinny rozpocząć się zbiory zbóż i rzepaku. Większość roślin jest obecnie na polach. Andrzej Sobociński wskazuje, że żuławscy rolnicy zdołali zebrać przed ulewą jedynie 5 proc. upraw rzepaku.

- Nie wiemy, kiedy będziemy mogli wyjechać na pola. Na pewno nie teraz... Jest zbyt duże ryzyko. Ziemia jest bardzo miękka, grząska. Ciężki sprzęt na pewno utknąłby na polu, a nawet nie byłoby możliwości wyciągnąć np. kombajnu, zatopionego w błocie. Zboże musi czekać, ale to wszystko odbija się na jakości zboża - mówi Łabędzki.

Jeśli skupy nie przyjąłby zboża na cele konsumpcyjne (na mąkę), będzie jeszcze opcja by sprzedać je na paszę. Za znacznie niższą cenę. I pod warunkiem, że w stojącej wodzie uprawy nie zaczną gnić. To poniekąd wyjście z czasem i siłami natury.

- Nawet jeśli zrobiłoby się pogodnie, działałyby pompy, to ile czasu by było potrzeba, żeby



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Nadmiar wody trzeba gdzieś odprowadzić, a tego miejsca zaczyna brakować



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Podtopienia widać z dróg przecinających Żuławę



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Są miejsca, gdzie upraw w ogóle nie widać, tylko lustro wody

Komisje i szacowanie strat

Andrzej Sobociński jest w zarządzie rolniczego samorządu - Pomorskiej Izby Rolniczej. PIR tuż po ulewie zachęcała rolników, do wnioskowania w gminach o utworzenie specjalnych komisji do szacowania strat. I takie komisje powstają. Mowa jest też o bezzwrotnym wsparciu finansowym.

- Jesteśmy w kontakcie z panią wojewodą pomorską, Beatą Rutkiewicz w sprawie rekompensat za straty. Mamy zapowiedź, że w naszym przypadku zostać może zastosowany podobny mechanizm, jaki zastosowano w ubiegłym roku po powodzi, na południowym-zachodzie Polski - podkreśla Andrzej Sobociński.

By wyobrazić sobie skalę strat można posłużyć się pewnym przykładem. Koszt nasion pszenicy, który pozwoli obsiać niecałe dwa hektary to ok. 3 tys. zł. Należy też doliczyć środki ochrony roślin i nawozy. To drugie tyle. Do tego paliwo do rolniczego sprzętu. Potem pomnożyć przez liczbę hektarów - średnio na gospodarstwo można przyjąć około 50 ha (bez kosztów pracy rolnika). Sam materiał siewny może zatem kosztować ok. 70 tys. zł.

- Będziemy wspierać rolników, jesteśmy już na polach, szacujemy straty. Sytuacja na Żuławach jest poważna. Nawet jeśli gdzieś uda się rolnikom zebrać plony, to nie wiemy w tej chwili, jaka będzie jakość ziarna - mówi Aneta Marciniak z Powiatowego Zespołu Doradztwa Rolniczego w Nowym Dworze Gdańskim.

- Nie wiemy jaka będzie pomoc. Mamy wszyscy ubezpieczone uprawy, ja tak samo. Ale uważam, że nie po to sięje ziarno, żeby dostawać odszkodowanie, tylko po to, by mogło ono karmić ludzi - mówi Ryszard Łabędzki.

Świątelnio w tunelu

Na Żuławach, regionie zajmującym 1 proc. obszaru Polski, ale odpowiadającemu za 20 proc. krajowej produkcji rolnej, patrzą z obawami w niebo.

- Oby wały przeciwpowodziowe wytrzymały. Rzeki są pełne wody, wały są nasiąknięte - obawia się Ryszard Łabędzki.

Część rolników, jeszcze we wtorek, tuż po ulewie, mówiła że żniw w ogóle w tym roku nie będzie.

- Będą żniwa. Mamy wszyscy nadzieję, że chociaż część plonów zbierzemy i jakoś uda się z tej sytuacji wyjść. To, co jest optymistyczne to prognozy. Miało padać w czwartek, ale nie padało. Kolejne dni, mamy nadzieję, też będą bez deszczu. Straty w tym roku będą ogromne, ale liczymy, że wkrótce wjedziemy na pola - mówi jednak Andrzej Sobociński. ©©

ROWY W WIELU MIEJSCACH BYŁY
OD DAWNA NIE KOSZONE, NIE SĄ
POGŁĘBIONE PRZEPUSTY, TZW.
ZASTAWKI NIE DZIAŁAJĄ. CZĘŚĆ
KANALÓW JEST NIEDROŻNA

WEJŚĆ DO WNETRZA STAREJ CHATY I ZAJRZEĆ W JEJ ZAKAMARKI...

Tutejszy krajobraz jest iście sielankowy. Wiekowe drewniane wiejskie chaty są otoczone naturą. Z ich iokien w oddali widać łąki, pola i lasy. Przy domach kwitnące kwiaty, a dookoła spokój. Tak wygląda lato w pełni na Kociewiu

Kinga Furtak

Są jeszcze miejsca, w których czuć ducha przeszłości. Jest taka kociewska wieś nieco ukryta, otoczona lasami...

Na skraju Borów Tucholskich, w gminie Osiek leży Kasparus. Wieś wzmiankowana w dokumentach już w połowie XVII wieku. To miejsce sprawia wrażenie, że czas się tu zatrzymał. Niewielka miejscowość wygląda, jak żywy skansen. Liczne drewniane chaty z XIX-XX wieku zachowały się w bardzo dobrym stanie i do dziś są zasiedlane przez mieszkańców. Na uwagę zasługuje również parterowa plebania z XIX wieku o konstrukcji wieńcowej, krytej dachem czterospadowym. Chlubą i najcenniejszym zabytkiem wsi był neogotycki drewniano-ceglany kościół pw. świętego Józefa na pruskim murze z 1926 roku. Niestety, spłonął w 2020 roku. W małym i uroczym Kasparusie dzieją się rzeczy wielkie. Rozgłos wsi przyniósł strajk szkolny z 1907 r. Po wprowadzeniu w tamtejszej szkole zajęć religii w języku niemieckim, doszło do starć rodziców z pruskimi nauczycielami oraz żandarmerią. Wielu mieszkańców zostało ukaranych więzieniem lub wysokimi grzywnami, co doprowadziło część rodzin do ubóstwa.

Przyjechać można tu rowem, zwiedzić i potraktować to miejsce jako bazę wypadową. Blisko jest stąd do rezerwatu Krzywe Koło i słynnych wsi borowiackich. Długo, Smolniki, Mermet, Ocypel... A my w poszukiwaniu kociewskich chat zawędrowaliśmy do Borzechowa w gminie Zblewo.

Zapach drewna i skrzypiące deski

Ulica Kociewska 1b w Borzechowie. Tuż przy głównej szosie, przy skrzyżowaniu prowadzącym do Starogardu Gdańskiego stoi drewniana chata, której dach pokryty jest



Tuż przy głównej szosie, przy skrzyżowaniu, stoi drewniana chata



Dla bibliotekarki Bożeny Trawickiej ten stary dom to miejsce pracy

słomianą strzechą. Taki dach był niegdyś naturalnym zabezpieczeniem przed deszczem i chłodem. Chata stoi na kamienno-glinianych fundamentach, które do dziś przetrwały próbę czasu. Osobliwością jest podcień, czyli

zadaszona część wymagająca więcej umiejętności ciesielskich, będąca niegdyś oznaką większego dobrobytu wiejskiej rodziny. Jest inna od wszystkich domów stoją-

cych obok - współczesnych i murowanych. Jak się okazuje ta chałupa ma wielką wartość. Jest jedyna taka na całym Kociewiu!

- Dom został zbudowany w 1625 roku. Jest chatą lu-

dową z pełnym podcieniem szczytowym. To najstarszy jedenastoosobowa rodzina. W roku 1958 została wyremontowana na koszt państwa. Rozebrano ją w latach 70 i postawiono nowe fundamenty. A dziś?

Wydaje się to niezwykle, ale dziś można wejść do jej środka! Przekraczając próg dawnego domostwa od razu czuje się wspaniałą woń drewna. Ten charakterystyczny aromat kojarzy się z naturalnym, świeżym powietrzem i spokojem. Przez okna chaty widać piękną i zieloną naturę. Można się rozejrzeć po dawnych izbach, w których dziś... stoją regały z książkami!

- Od 1983 r. po ponownym remoncie mieści się tutaj filia Gminnej Biblioteki Publicznej w Zblewie. W 2004 r. w ramach programu odnowy wsi wymieniono strzechę, wylakierowano podłogi, wymieniono płotek i zamontowano kostkę przy wejściu do biblioteki - opowiada Emilia Bielska.

Jest bardzo mało informacji o tej chacie. Nawet miejscowi niewiele pamiętają. Nie zachowały się żadne archiwalne zdjęcia.

Wyjątkowe eksponaty z Kociewia

Izydor Gulgowski choć pochodził z Kociewia, to swoje życie - najpierw zawodowe, jako nauczyciel, a później prywatne i naukowe - związał z Kaszubami. Wspólnie z żoną Teodorą stworzył miejsce wyjątkowe, które tętni życiem do dziś. Muzeum - Kaszubski Park Etnograficzny im. Teodory i Izzydora Gulgowskich we Wdzydzach Kiszewskich to najstarsze muzeum na wolnym powietrzu w Polsce. Przekraczając jego bramę można przenieść się w czasie. Pośród lasów, pól i łąk w bliskim sąsiedztwie jeziora stoją stare chałupy, dwory, kościoły, wiatraki i warsztaty

rzemieślnicze. Te zabytkowe budynki pochodzą z Kaszub, Borów Tucholskich oraz Kociewia. Przeniesione z tych regionów, ukazują życie naszych przodków. Dzięki muzeum ocalały od zniszczenia i zapomnienia.

Dziś to miejsce stanowi iście sielski widok. Znajdziemy tu też i kociewskie drewniane chaty pokryte strzechami, a przed nimi ogródki kwiatowe oraz warzywne, a także przydomowe sady owocowe. To otoczenie sprawia, że czujemy jakby życie toczyło się tu nadal. Wnętrza chałup obrazują wystrój właściwy mieszkańcom o konkretnym statusie społecznym, żyjących w konkretnym czasie. To niesamowite, że do tych miejsc można wejść i pozagłądać w ich zakamarki.

Większość chałup pochodzących z Kociewia, a już odbudowanych w muzeum, jest konstrukcji szkieletowej, tzn. mają drewniany szkielet wypełniony gliną. Wyjątek stanowi chałupa z Pogódek.

- Kociewskie i kaszubskie chałupy, z racji bliskiego sąsiedztwa nie różniły się znacznie. Wśród obiektów z Kociewia jest chałupa ze Szczodrowa, Pogódek, Klonówki, stodoła z Grabówką i budynek szkolny ze wsi Więckowy - opowiada Sonia Klein-Wrońska, kustosz Muzeum - Kaszubskiego Parku Etnograficznego.

Chałupa ze Szczodrowa o konstrukcji szkieletowej pochodzi z XIX wieku. Dzięki informacjom zebranym przez muzeum, możemy dowiedzieć się, że jej pierwszym właścicielem był Bernard Jasnoch, określany jako wolny posiadacz ziemski. Kolejni właściciele nosi to samo nazwisko i byli charakteryzowani jako robotnicy. Ostatni gospodarz został zapamiętany, jako rzemieślnik wytwarzający obuwie codzienne - drewniane chodaki. Budynek był przeznaczony dla dwóch



FOT. KINGA FURTAK

Chałupa z Pogódek z przyległym niewielkim ogródkiem

rodzin robotniczych. Każda z nich dysponowała takim samym fragmentem domu. Jej właściciel pobierał opłaty za wynajem. W muzeum budynek jest częścią zagrody służebnej przy gospodarstwie gburskim z Pogódek.

Chałupa z Pogódek była jednym z ostatnich drewnianych budynków znajdujących się we wsi, która przetrwała do lat 70'. Dzięki przeniesieniu jej do muzeum możemy przekonać się, w jakich warunkach żyła zamożna rodzina wiejska w XIX w. Obiekt w całości powstał z drewna porożbiorkowego. W skansenie to jedyna chata konstrukcji sumikowo-łątkowej.

Na terenie muzeum, jeśli chodzi o sektor kociewski, do odtworzenia pozostała jeszcze zagroda z Bytoni z chałupą z Bobowa, dworek z Mirotok oraz chałupa z Kleszczewa.

Sercem dawnych domostw był komin, wokół którego sytuowano wszystkie pomieszczenia.

- Wielkość domów i ich wyposażenie były oczywiście zależne od statusu społecznego mieszkańców - mówi Sonia Klein-Wrońska. - Struktura społeczna mieszkańców wsi prezentowała się mniej więcej w taki sposób: najniżej klasowali się tzw. komornicy nie posiadający ani własnego domu, ani ziemi, następną grupą byli zagrodnicy, posiadający tylko swoją zagrodę i trudniący się innym zawodem, robotnicy leśni - trudniący się pracą w lesie, robotnicy rolni, którzy posiadali niewiele swojej ziemi, lub ją dzierżawili ale także zajmowali się do pracy w gospodar-

stwie tzw „gbura” - czyli zamożnego rolnika. Najlepiej sytuowaną grupą społeczną na wsi była szlachta, w tym również tzw. drobna szlachta, czyli właściciele ziemscy. Oprócz tego na wsi mieszkała też ludność wykonująca pewne niezbędne na wsi zawody, jak kowal, kołodziej, młynarz, karczmarz...

Niezwykłym i sporych rozmiarów obiektem na terenie muzeum, jest szkoła pochodząca ze wsi Więckowy. Budynek powstał w latach 50. XIX w. i zbudowany jest w tzw. szachulec, czyli ściany konstrukcji szkieletowej z wypełnieniem z gliny zmieszanej z sieczką słomianą. Istnienie szkoły w Więckowach potwierdzają zapisy w dokumentach pochodzących z 1861 r. Obiekt powstał z myślą o kształceniu dzieci.

- Wnętrze podzielono na dużą izbę lekcyjną oraz mieszkanie dla nauczyciela. W jednej klasie odbywały się zajęcia dla dzieci w różnym wieku. Nauczyciel musiał zadbać o to, aby materiał był odpowiedni dla poziomu wykształcenia każdego ucznia - opowiada kustosz. - Dzieci miały obowiązek kształcenia, jednak, rodzice często zatrzymywali je w domu w porze żniw czy wykopek, bo były potrzebne do pracy w gospodarstwie.

Wyposażenie wnętrza szkoły, które można dziś oglądać pochodzi z lat 20' XX w. Nauczyciel z reguły przywoził swoje wyposażenie mieszkania z miasta dlatego można tu zobaczyć bogatsze meble, dywany, bibeloty, a nawet aparat fotograficzny.

Jak te wszystkie cenne obiekty z Kociewia trafiają na Kaszuby? Przewiezienie budynku do muzeum to bardzo skomplikowana procedura, wymagająca sporej wiedzy i dokładnego przygotowania.

- Prace zaczyna się od wykonania szczegółowej dokumentacji rysunkowej i fotograficznej. Następnie na każdą część konstrukcyjną, po kolei, ściana po ścianie i belka po belce nabija się tzw. merki - czyli blaszki z numerkiem i literą alfabetu, która odpowiada danemu fragmentowi, to z kolei nanosi się na rzuty ścian tak zewnętrznych jak i wewnętrznych, również na podłogi, sufity, konstrukcję dachu itd. Po przewiezieniu, belki poddaje się konserwacji i tzw. „flekowaniu” czyli uzupełnianiu ubytków - wyjaśnia Sonia Klein-Wrońska.

W latach 70. przyszło nowe

W 1969 roku ówczesne Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kościerzynie zle-

*WNĘTRZA CHAŁUP OBRAZUJĄ
WYSTRÓJ WŁAŚCIWY MIESZKAŃ-
COM O KONKRETNYM STATUSIE
SPOŁECZNYM, ŻYJĄCYCH W KON-
KRETNYM CZASIE*



FOT. KINGA FURTAK

Kto nie chciałby mieć takiego widoku z okna w pracy?



FOT. KINGA FURTAK

Wnętrze chaty przeniesionej do wdzydzkiego skansenu ze Szczodrowa

ciło Toruńskiemu Zakładowi Zagospodarowania Turystycznego opracowanie planu koncepcyjnego projektowanej rozbudowy muzeum. Pierwotne założenia merytoryczne i przestrzenne Kaszubskiego Parku Etnograficznego rozbudowane zostały w połowie lat 70. XX wieku, a ważnym ich dopełnieniem było włączenie do koncepcji muzeum zagród i budynków z Kociewia i Borów Tucholskich.

Opracowany został nowy plan zagospodarowania przestrzennego, który przewidywał nowe rozwiązania dla po-

większonego z ok. 12 hektarów do niemal 22 hektarów obszaru muzeum.

Nowa, poszerzona koncepcja etnograficzna muzeum opracowana została w oparciu o materiały z badań terenowych prowadzonych przez pracowników merytorycznych muzeum: Benedykta Malinowskiego, Tadeusza Sadkowskiego, Wojciecha Błaszowskiego oraz Romana Tubaję.

Nowy plan zagospodarowania przestrzennego KPE, uwzględniający rozbudowaną koncepcję etnograficzną, datowany na grudzień 1979

roku, opracowany został w Instytucie Architektury i Urbanistyki Politechniki Gdańskiej.

Wówczas etnografowie i historycy wyjeżdżali w teren i typowali budynki warte przeniesienia. Ich następcy korzystają dziś z tych informacji. Niektórych obiektów już nie ma, albo toczą się spory spadkowe. W takich przypadkach nie pozostaje nic innego, jak tylko ruszyć na poszukiwanie kolejnych domów, które warto zachować dla przyszłych pokoleń, choćby w formie muzealnych eksponatów.

©©

MONIKA SUROWIEC TWORZY MODĘ Z SZACUNKIEM DLA LUDZI I RZECZY

- Jeśli ubranie jest używane lub ma status „do wyrzucenia”, dla mnie staje się inspiracją do szukania nowych znaczeń zarówno tych ideowych, jak i formalnych - mówi Monika Surowiec. Pochodząca ze Słupska projektantka uważana jest za prekursorkę mody cyrkularnej, opartej na upcyclingu. I chociaż te określenia bardziej kojarzą się z gospodarką odpadami niż kolekcjami odzieżowymi, to jednak efektem takiego myślenia są naprawdę wyjątkowe i bardzo wyrafinowane ubrania z duszą. - Bo dla mnie odpad to zasób - mówi projektantka.

Anna Czerny-Marecka

Monika ma osiem-dziesięć lat, kiedy dostaje pierwszą maszynę do szycia. Żółtą. A mama uczy ją robić na drutach. Dziewczynka robi dla lalki Barbie małeńkie sweterki z różnymi rodzajami ściągów i wzorami.

Wrażliwa nastolatka, uczennica Technikum Ekonomicznego w Słupsku, puka do drzwi Stefana Morawskiego. Wie, że to artysta wielokrotny: malarz, rzeźbiarz, poeta, multiinstrumentalista. Monika pokazuje mu swoje prace plastyczne. On zachęca ją do przychodzenia na spotkania uzdolnionej młodzieży w Ośrodku Teatralnym Rondo, z którym jest związany. Pokazuje mu także swoje wiersze. Są potem recytowane w ramach wystawy plastycznej z jej między innymi pracami. Nadal tworzy poezję. Do szuflady. Po woli jednak w jej głowie kiełkuje myśl, że może by ją wydać?

Studentka Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu przyciąga wzrok przechodniów. Jak opowiada po latach „Zwierciadło”, nosiła długie, powłóczyście suknie. Jedną przerobiła na spódnicę - uszytą z koła, czarną, z gigantycznymi różowymi i żółtymi kwiatami, z półmetrowym trenem.



Monika Surowiec w teatrze Rondo w Słupsku - po spektaklu „Odzyskane”, w którym pokazała swoją kolekcję

Jeszcze na studiach, w 2002 roku, tworzy swoją pierwszą kolekcję z ubrań i materiałów wynalezionych w lumpeksach. Jej projekty trafiają do Casamody, jednego z pierwszych showroomów dla projektantów mody i marek odzieżowych w Warszawie. Zaczynają o niej pisać modowe periodyki.

Nie idzie jednak za ciosem. Do projektowania wraca dopiero w 2008 roku, mając za sobą pracę kostiumologa. Tym

razem robi oryginalne torby z kurtek i płaszczy skórzanych z lat 80. i 90.

Znów przerwa - na sklep vintage. I znów powrót. W 2019 roku tworzy cyrkularną markę modową Saint Warsaw.

Kim jest?

Pochodzi ze Słupska, mieszka w Warszawie. Projektantka, badaczka i edukatorka używająca technik rzemieślniczych. Prekursorka modowego slow fashion i upcyclingu w Polsce.

Ekspertka ONZ-owskich programów, takich jak Okrągły Stół dla Zrównoważonej Mody w ramach sojuszu United Alliance for Sustainable Fashion oraz Climate Leadership przy UNEP. Od niedawna - sekretarz generalny organizacji EquiRoots Climate Collective z siedzibą w Paryżu.

- Kim jestem, jeżeli trzeba by tę wielość zawodów i praktyk zawrzeć w jednym słowie? Twórczynią, osobą, która tworzy nowe sposoby myślenia - mówi Monika Surowiec.

Odpad to zasób

Moda cyrkularna, upcycling - te terminy jeszcze nie do końca utrwaliły się w świadomości społecznej. O co w nich chodzi?

- O wykorzystanie tekstyliów, które normalnie trafiłyby na wysypisko śmieci - tłumaczy projektantka, która w swojej marce Saint Warsaw przetwarza używane ubrania (upcycling) i wykorzystuje resztki materiałów z pracowni krawieckich. Jednym słowem, daje „odpdom” drugie życie (ponowne wykorzystanie to właśnie cyrkularność).

Zaznacza przy tym, że ważny jest skład tekstyliów, z jak największym udziałem włókien naturalnych. Tę jakość ona wyczuwa po prostu palcami.

- Potrafię szybko rozpoznać po dotyku nawet procent zawartości poliestru czy wełny. Rzadko kiedy się mylę - zapewnia. - Jakość materiału to pierwsza rzecz, jakiej szukam.

Ideę mody ekologicznej i społecznie odpowiedzialnej Monika Surowiec wyraziła w manifestie wygłoszonym w grudniu minionego roku podczas spektaklu „Odzyskane” w słupskim teatrze Rondo.

Napisała w nim o potrzebie wprowadzenia do mody aspektów etycznych, społecznych i ekologicznych, w kontraście do marnowania mate-

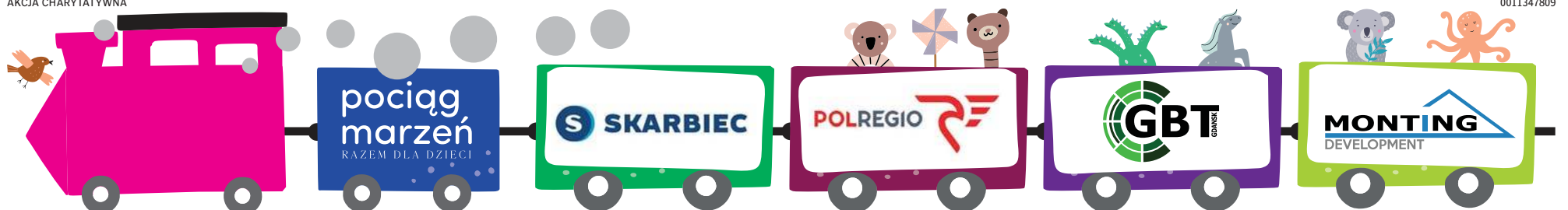
riału, nieetycznej produkcji odzieży przez dramatycznie nisko opłacanych pracowników, szybkich zmian trendów. Masowości produkcji Monika Surowiec przeciwstawia dobre rzemiosło. Wyrzucaniu rzeczy - ich odzyskiwanie (odpad zmienia w zasób). Zamiast fast fashion proponuje slow fashion, zdając sobie przy tym sprawę, że to działanie wbrew temu, co obecnie reprezentuje świat mody, który namawia nas do ciągłego zmieniania zawartości szafy.

- Spowolnienie oznacza rewolucję - zaznacza.

Zacznij od fraka

Większość projektantów mody zaczyna tworzyć swoje kolekcje od rysunków. Ona pracuje inaczej. Inspirację czerpie z ubrania, które wpadnie jej w oko.

- To jest dla mnie medytacyjny proces. Patrzę na marynarkę, na frak czy smoking, i w pewnym momencie wiem, jaką nową formę chcę uzyskać. Prowadzi mnie kreatywność. Nie matematyka. Ona jest oczywiście w długościach rękawów na przykład - opowiada. - U mnie wszystko zaczyna się od impulsu. Momentu błysku, który uruchamia decyzję - wiem, co chcę stworzyć. Nigdy nie projektowałam tradycyjnie. Nie tworzę szkiców, nie sięgam po nowe



tkaniny z metra. Prowadzi mnie to, co już istnieje - konkretna forma, najczęściej męska, z historią. To z niej buduję zarówno kobiece, jak i męskie sylwetki, nadając jej nowy kontekst i nowe życie.

Przywraca historię, którą ktoś porzucił

Każda jej kolekcja, od pierwszej poczynając, oparta jest o ubrania i materiały z drugiego obiegu. Tworzyła tak od początku, a teraz czuje satysfakcję, że ten kierunek przestaje być powoli modową niszą.

- Nigdy nie byłam częścią korporacyjnych zespołów projektowych, ale dziś to, co robię, zaczyna wybrzmiewać szerzej - tłumaczy. - Upcycling pojawia się na wybiegach i w kolekcjach domów mody. Projektanci działający w duchu upcyklingu wreszcie są zauważani. Jeden z nich właśnie stanął na czele wielkiego, globalnego domu mody. To dobry znak - że branża mody się zmienia a świat zaczyna dostrzegać potencjał rzeczy.

Bo, co zawsze podkreśla, moda jest dla niej czymś więcej niż tworzeniem kolekcji.

- Nie kupuję materiału w sklepach, nie jeżdżę na tradycyjne targi trendów za nowym materiałem. To dla wielu było zaskakujące - a dla mnie, naturalne - kontynuuje. - Bo projektowanie to nie jest tylko „zabawa w ładne rzeczy”. To też wybór, za którym idzie wartość. Upcycling to mój sposób mówienia o świecie. Bo nigdy nie chodziło tylko o ubrania. Projektowanie stało się dla mnie formą manifestu - odpowiedzią na pytania o to, co dziś znaczy odpowiedzialność, etyka i ekologia w branży. O to, że moda może być autentyczna, cyrkularna, oparta na tym, co już zostało wyprodukowane. I jednocześnie nie wykluczać wysokiej estetyki i tego szczególnego vibe, który w sobie mieć powinna.

- Rzeczy, które już coś przeżyły, inspirują mnie najmocniej - dodaje. - Wybieram te, które według mnie mają charakter: męskie fraki, garnitury, smokingi. Swoje projekty w pewnym sensie robię z historii, którą ktoś porzucił. Czasem prowadzi mnie kolor. Czasem faktura. Czasem to trudne do uchwycenia „coś”. Nie potrzebuję rysować. Choć czasem to robię. Potrzebuję przede wszystkim poczuć formę, zobaczyć, jak materiał odbija światło, jak układa się



Dwie prace z kolekcji „The Shape of Desire” Moniki Surowiec, która została pokazana 20 maja w ramach Trend Station, jako zwieńczenie wydarzeń dotyczących zrównoważonego rozwoju, m.in. Urban Future i Samorządowego Kongresu Klimatycznego w Łodzi

na sylwetce. Upcycling, który tworzę to swoisty dialog. Z przeszłością, z materia, z tym, co zostawił po sobie świat.

Marka rzeczy pojedynczych

Ubrania, które tworzy w Saint Warsaw, są niepowtarzalne. Nie ma dwóch takich samych. I - projektantka ma taką nadzieję - są też „niewyrzucalne”. - Są na tyle indywidualne, na tyle ciekawe i na tyle jakościowe i dobrze wykonane, że liczę na to, że ktoś nie będzie miał chęci, żeby je wyrzucić, a raczej zachować jako obiekt, przerobi albo przekaże dalej - tłumaczy Monika Surowiec. - To jest podstawa myślenia o cyrkularności.

To niestandardowe podejście do mody sprawiło, że projektantka została zaproszona do ONZ-towskich projektów, które dotyczą między innymi regulacji prawnych mających sprawić, że produkcja odzieży

będzie bardziej transparentna, etyczna i ekologiczna.

- Zastanawiam się czasem, jak to się stało, że od chodzenia po lumpeksach i kupowania używanych ubrań doszłam do miejsca, gdzie naprawdę mam wpływ na zmiany. To pokazuje, że nigdy do końca nie wiemy, dokąd nas zaprowadzi nasza ścieżka. I że nie warto nigdy umniejszać żadnemu doświadczeniu, zawodowi czy praktyce - mówi Monika Surowiec.

Męska sylwetka bardzo kobieca

Kiedyś inspirowały ją gorsety, spódnice i sukienki. Szyfonowe. Delikatne. Teraz za bazę swoich kolekcji biera garnitury damskie i męskie, fraki, smokingi, płaszcze, spodnie. Z tych elementów buduje. Dlaczego?

- Na tym etapie kobieca sylwetka jako punkt wyjścia do projektowania nie jest dla



mnie inspirująca - mówi. - Dlaczego? Nie wiem. Bardzo lubię potem przymierzać ubrania o męskiej sylwetce na kobiety i je dostosowywać. Na pokazie w słupskim Rondzie pokazałam spódnice zrobione ze smokingu. Bardzo seksownie to wyszło, bardzo sensualnie i bardzo kobieco.

Nie jest jednak tak, że zupełnie odrzuca zwiewne materiały. Stosuje je jako element dopełniający. Jako część określonej koncepcji, której bazą jest frak czy marynarka.

Rzeźbienie igłą

Swoje projekty szyje ręcznie, igłą i nitką, technikami rzemieślniczymi.

- Mogę wtedy wyczuć materiał, to, jak poddaje się pracy ręką, ale to długi i precyzyjny proces, w którym zdarza mi się przywiązać do ubrania - opowiadała czasopismu „Voque”. - Staram się tak projektować, aby maksymalnie wykorzystać

materiał. Kiedy szukam formy w tej istniejącej, na przykład w marynarce vintage, nie zostaje mi wiele ścinków. Z nich zszywam lub plotę paski - dodawała.

Technik rzemieślniczych nauczyła się sama i jest dumna, że potrafi szyć jak wykwalifikowane krawcowe. Dzięki tym umiejętnościom uzyskuje efekt trójwymiarowości.

- Wiele razy słyszałam, że moje projekty wyglądają, jakby były sklejone - bo szwów praktycznie nie widać. Wyjaśniam, że to efekt rzeźbiarskiej formy, którą uzyskuję z płaskiej tkaniny. Moja specjalność to nadawanie materiałowi przestrzeni i trójwymiaru. W tym niezbędne są techniki ręczne, bo maszyna spłaszczałaby efekt i nie oddałaby tej struktury.

Kolory ma w sobie

W zaprojektowanych przez nią ubiorach królują szarość, czerń, beż, granaty. Wszystko

to razem - jak twierdzi - buduje sylwetkę dość mocną, przestrzenną.

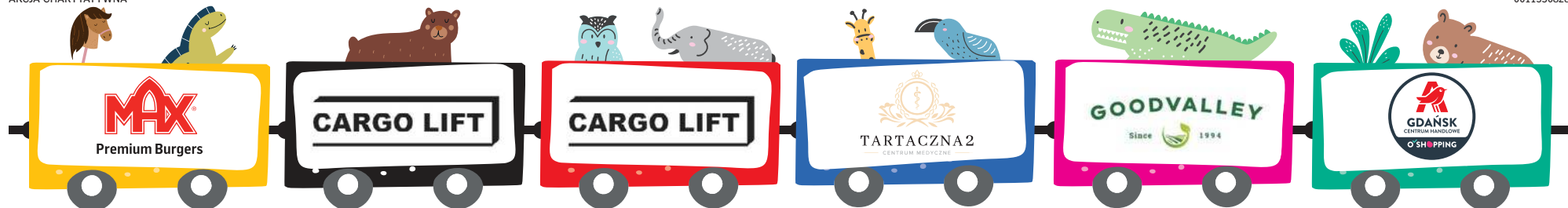
- Ostatnio zaczęłam się zastanawiać, skąd właściwie ta moja czerń. Kolory mam w sobie. Może to sposób na wyciszenie - i tego, co na zewnątrz, i tego, co w środku - tłumaczy projektantka. - Świat bywa głośny, ja też czasem jestem pełna hałasu: emocji, rozdrażnień, myśli. Czerń działa jak filtr: porządkuje, pozwala złapać dystans. A jednocześnie otwiera przestrzeń na to, co dla mnie kluczowe - formę. Gdy kolor jest wyciszony, bryła jest bardziej widoczna. Uwielbiam moment, kiedy tkanina zaczyna żyć w trzech wymiarach. To trudne. Ale właśnie dlatego tak mnie pociąga.

Dokąd zmierza?

- Jeszcze niedawno niewielu przewidywało, że upcycling poprowadzi modę w zupełnie nowym kierunku. Dziś ten kierunek jest już nie do zatrzymania. Wyczułam ten trend znacznie wcześniej niż większość, dziś już przewiduję kolejne zmiany i potrzeby. Zobaczymy, na ile miałam rację - czy to była intuicja, radar, czy coś pomiędzy? Ciekawi mnie, dokąd to wszystko zmierza - zastanawia się. - Kiedy tworzę kolekcje, planuję nowe projekty, dużo chodzę. Myślę w ruchu, a to chodzenie prowadzi mnie gdzieś dalej. Dokąd? Jeszcze nie wiem, ale podążam. Zawsze działałam inaczej - nie podążam za schematami myślenia o modzie. I to pozwala mi dalej myśleć. Inspiruje mnie potrzeba zmiany, ten moment, gdy nagle czuję, że coś zrozumiałam - coś, co trzeba prze-wartościować, zmienić. To dla mnie moment, gdy realizuję pomysł, by potem otworzyć się na kolejne wyzwania.

Jakie?

- Uwielbiam obserwować, jak inni podchodzą do tych tematów i co z tego powstaje. Po pracy z młodzieżą w Słupsku - gdzie projekt spotkał się z pozytywnym odbiorem - myślałam o kolejnym kroku: edukacji. Nie typowych lekcjach szycia czy technik, ale o poszerzaniu horyzontów młodych ludzi. To doświadczenie dało mi przekonanie, że mogę się realizować też w ten sposób - jako wykładowczyni akademicka, pierwsza w Polsce, która prowadzi autorski program o upcyclingu w modzie: od teorii do zastosowań - mówi na zakończenie Monika Surowiec. ©©



WIELKI STAROWIEYSKI W SZCZECINIE. MAMY SIĘ CZYM POCHWALIĆ

Nieodłączny kieliszek, barwne opowieści, naga modelka. Tak w pigułce wyglądał Teatr Rysowania w wykonaniu Franciszka Starowieyskiego. Niewiele osób wie, że dwie prace artysty możemy oglądać w Szczecinie.

Magdalena Sroczyk - Jaszczyńska

Dwie prace Franciszka Starowieyskiego, które powstały w ramach rysowania „na żywo”, są wyeksponowane w rektoracie Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego oraz w holu Teatru Współczesnego. Obrazy powstałe podczas wydarzeń para-teatralnych mają wielkość od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów kwadratowych.

Franciszek Starowieyski tak wypowiadał się o ich tworzeniu:

„Zanim zacznę spektakl, gimnastykuję się i ćwiczę ręce. Zamach na taką płaszczyznę to spory wysiłek fizyczny, a nie wolno wytracać taktu. To zaczyna się nieśmiało, dopiero gdzieś dalej rozpędza się, tworzy się w duszy pęd, przerażenie, zdumienie i zachwyt. Publiczność te stany wyczuwa, a ja, mobilizowany zbiorową świadomością, pracuję biologicznie”.

Teatr Rysowania

Franciszek Starowieyski był twórcą charakterystycznej formy malarstwa, którą nazwał Teatrem Rysowania. Były to publiczne pokazy wirtuozerii rysowania.

Bezpośrednią inspiracją takiej formy tworzenia był XIX-wieczny obraz Gustava Courbета „Pracownia malarza”. Co na nim się znajduje? Artysta, który maluje obraz w towarzystwie nagiej modelki i zgromadzonej publiczności.

Sam twórca tak tłumaczył swój akt malowania: „Zauważyłem, że publiczne robienie sztuki daje mi rodzaj koncen-



Praca Franciszka Starowieyskiego „Chaos przed zagładą w obecności jaja wieczności” w rektoracie PUM

tracji nieosiągalnej w samotności. Były to zawsze święta w codzienności stworzenia. Włączyłem teksty Becketta, Słowackiego, z Biblii (...).”

Teatr Rysowania powstał w 1980 roku podczas pleneru na zamku w Świdwinie. Wówczas artysta spontanicznie stworzył malowidło na ścianie zamku. Prace wykonywane na kolejnych pokazach tworzył już na płótnie, z użyciem węgla, pastelów i kredy. W ciągu kilkudziesięciu lat Teatrów Rysowa-

nia powstało niemal trzydzieści prac. Starowieyski tworzył nie tylko w Polsce, wędrował z nim po świecie. Miejsca, gdzie tworzył, to między innymi Warszawa 1984, Wenecja 1986, Paryż 1986 (spektakl trwał sześć dni i nosił tytuł „Komunistyczna zagłada świata”), Wrocław 1987, Linz 1989, Monachium 1989, Sevilla 1992, Opole 1993, Lublin 1995, Chicago 1996.

Ostatni Teatr Rysowania odbył się w Poznaniu, w czerwcu

2006 roku. Miejsce i data powstania dzieła nie były przypadkowe. Praca powstała w rocznicę zrywu poznańskich robotników, które miały miejsce w czerwcu 1956 roku. W trakcie pracy artysta zasłabł i w efekcie obraz jest niedokończony.

Zaczynał od koła

Każdy spektakl był niepowtarzalny, a miejsca powstawania dzieł najróżniejsze (zamki, wieże, ośrodki kultury). Nato-

miast część elementów była stała: praca rozpoczynała się od wykreślenia pośrodku kompozycji koła, Starowieyski tworzył przy dźwiękach muzyki, a modelka pozująca artyście była naga.

Co ciekawe, podczas Teatru Rysowania artysta miał na sobie te same spodnie (białe portki - jak określała je żona artysty). Na nogawkach wpisywał miejsce oraz rok odbywającego się teatru. A co najważniejsze, powstawaniu dzieła za-

wsze towarzyszyła publiczność.

Jak przystało na teatr, była zarówno scena z „aktorem”, jak i widzowie. Spektakl publicznego rysowania trwał kilka dni i rozgrywał się według określonych norm.

Artysta wypełniał pustą salę trzema dużymi blejtramami (3 x 6 m) obciążonymi płótnem. Ustawiane one były w jednej linii lub na planie kwadratu. Tworzył w ten sposób wewnętrzne mniejsze pomieszczenie (scena), w którym odbywało się misterium rysowania.

Pracę, jak już wspomnieliśmy, zaczynał od narysowania wielkiego koła, bez użycia cyrkla. Następnym etapem było poddanie się pełnej improwizacji tworzenia. Z pierwotnego kręgu wynurzały się kształty kobiece, zwierzęce i abstrakcyjne.

Artysta, popatrując na rozebraną modelkę, popijając wino, przy dźwiękach muzyki rozmawiając z publicznością, snuł opowieści o tym, co go zainspirowało. A następnie na olbrzymich płótnach przeobrażało się to w malarsko-rysunkowe kompozycje.

Podczas tych otwartych dla publiczności seansów imponował nie tylko talentem, perfekcyjną ręką, doskonale opanowanym warsztatem, ale też wiedzą, erudycją i ogromną fantazją.

Twierdził, że podczas tych seansów najważniejsze dla niego było aranżowanie nastroju, którą tworzyła publiczność dopingująca go w czasie pracy. Wyjątkowa idea polegała na tworzeniu widowiska,

AKCJA CHARYTATYWNA



0411352671

w którym publiczny proces tworzenia był równie ważny jak samo dzieło.

Wielkość dzieł

Największy narysowany przez Starowieyskiego obraz powstał na Biennale w Wenecji w 1986 roku. Ma wymiary 24 x 4 metry i nosi tytuł „Pielgrzymka do świętego półkonia”.

Największy z obrazów, jaki stworzył w Polsce, ma 3 m wysokości i 18 m długości. Powstał podczas Teatru Rysowania, który odbył się w Lublinie. Starowieyski nadał mu tytuł „W oczekiwaniu Ocaliciela”. Przez cztery czerwcowe dni rysowania artysta inspirował się fragmentami poematu „Król Duch” Juliusza Słowackiego, czytając go z aktorami, oraz muzyką Beethovena. Powstały tryptyk sam podpisał: Świadkowie i początek metamorfozy (część lewa); Chaos, oczekiwanie potomka Reginy Tenebris i nadejście świata mechanicznego rozkładu (część środkowa); Bezsilność jaja wieczności i zagłada ostatnich myśli wolnych (część prawa).

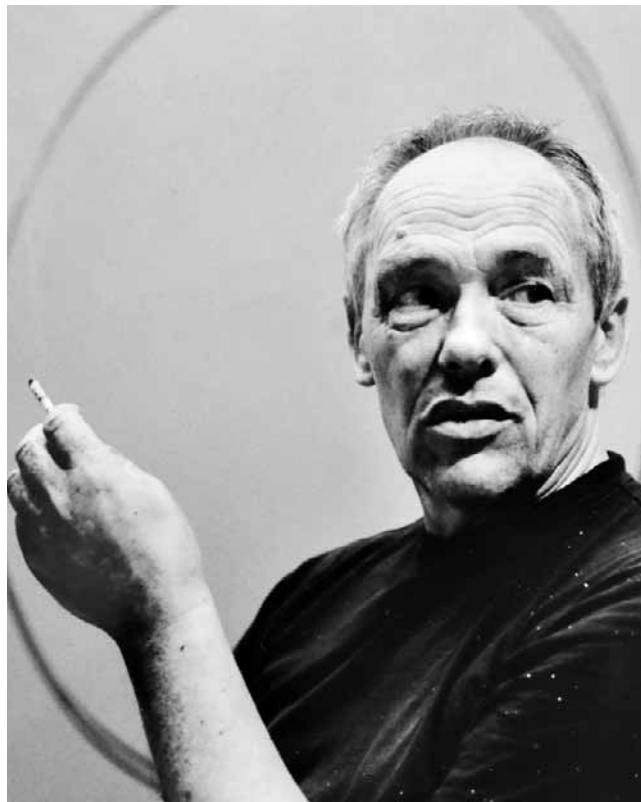
Starowieyski w Szczecinie

Wielkie obrazy wymagają przestrzeni do ich ekspozycji. Dzieła artysty wiszą nie tylko w galeriach, ale zdobią też prze-

strzeń publiczną. W kolekcji Muzeum Narodowego w Szczecinie znajdują się aż dwa wielkoformatowe obrazy Franciszka Starowieyskiego.

W rektoracie PUM - w holu przy Zakładzie Historii Medycyny - znajduje się obraz „Chaos przed zagładą w obecności jaja wieczności” (ma 16 m długości i 3 m wysokości). Powstał w Chicago podczas 22. Edycji Teatru Rysowania Starowieyskiego. Miało to miejsce w 1996 roku, ale na obrazie artysta wpisał rok 1696. Dlaczego? Uważał się za twórcę barokowego i wszystkie swoje prace antydatował na 300 lat wcześniej.

Z powstaniem tego dzieła wiąże się anegdota. Według planu pokaz miał się odbyć w Downtown, w Chicagowskim Centrum Kulturalnym. Organizatorzy postawili jeden warunek: w myśl przepisów miejskich, nie wolno było tam palić papierosów. Starowieyski nie zgodził się na to, gdyż palił również w trakcie trwającego kilka godzin pokazu rysowania. Jerzy Kenar (polski rzeźbiarz na stałe mieszkający w USA - przyp. autora) zaproponował więc swoją przestronną Wooden Gallery, która okazała się znakomitym miejscem dla Teatru Rysowania. Obraz znajdujący się w PUM jest darem prof. Piotra Chomczyńskiego,



Franciszek Starowieyski w czasie Teatru Rysowania w Opolu, 1993 rok

wybitnego naukowca, doktora honoris causa PUM.

Drugim dziełem Franciszka Starowieyskiego z cyklu Teatr Rysowania, które możemy oglądać w Szczecinie, jest obraz „W scenach zagłady pojawienie się jaja wieczności”. Dzieło po-

wstało w lipcu 1998 roku, w Międzyzdrojach. Składa się z ośmiu części i ma wymiary 3 x 16 m. Obraz zakupiono w 1998 roku dzięki pomocy finansowej PKO Banku Polskiego i Towarzystwa Ubezpieczeń i Reasekuracji WARTA S.A.

FRANCISZEK STAROWIEYSKI

Franciszek Andrzej Bobola Starowieyski, ps. Jan Byk urodził się 8 lipca 1930 w Bratkówce koło Krosna, zmarł w Warszawie 23 lutego 2009 roku. Pochodził z rodziny szlacheckiej, pieczętującej się herbem Biberstein. Z wykształcenia malarz: w latach 1949-1952 studiował malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie u Wojciecha Weissa i Adama Marczyńskiego, a następnie w ASP w Warszawie u Michała Byliny. Dyplom uzyskał w 1955 roku. Poza malarstwem zajmował się plakatem, grafiką użytkową, scenografią teatralną i telewizyjną. Popularność zyskał w latach 60. XX wieku dzięki serii plakatów teatralnych i filmowych. Znamca i kolekcjoner sztuki, głównie XVII-wiecznej.

FOT. TADEUSZ PARCEJ

Ciekawą historię ma spektakl, który odbył się w 1986 roku, w Crêteil we Francji. Ustawione jedno obok drugiego płótna składały się na pracę o długości 22 m i wysokości 3 m. Artysta pracował nad dziełem od 29 października do 7 listopada, czyli siedem dni. Jak stwierdził, „Siódmego dnia szatan ukończył swoją pracę i odpoczął”.

Podczas pracy nad dziełem Starowieyski założył się o talerz ostryg, że narysuje idealny okrąg bez użycia cyrkla i bez odrywania ręki. Zakład wygrał, zaś idealny okrąg stał się na obrazie oczodołem w czaszce.

Po zakończeniu dzieła, obiecano mu wystawny obiad z ostrygami, których jednak nie było w restauracyjnym menu. Artysta powrócił do Teatru Rysowania i dopisał: „Zabrakło ostryg, jesteście marionetkami obłędu” oraz słowo „Koniec”.

Franciszek Starowieyski stworzył wiele prac. Osoby które spotkały go, z którymi się przyjaźnił, wspominają, że ciągle był przy pracy. Wyjątkowość dzieł powstałych w trakcie zainicjowanych przez niego Teatrów Rysowania polega na tym, że na świecie jest ich niespełna 30. A w Szczecinie, można by rzec, że aż dwie. Warto z tego skorzystać i je zobaczyć. ©©



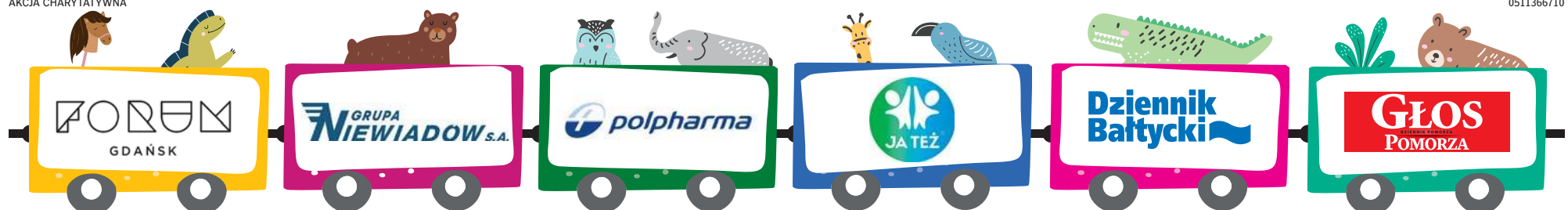
Opole 1993 - artysta podczas pracy „Becketowi chwała”



Modelka z Teatru Rysowania, MOK w Opolu

AKCJA CHARYTATYWNA

0511366710



AGNIESZKA KOZAK: WIEKSZOŚĆ RAN SIĘ NIE ZAGOIŁA, TYLKO ZOSTAŁA PRZYKRYTA GRUBĄ WARSTWĄ STRUPA

Każdy z nas nosi w sobie własną opowieść – czasem pełną światła, a czasem bolesnych doświadczeń. Dr Agnieszka Kozak, psychoterapeutka i autorka książki „W poszukiwaniu siebie. Każdy ma swoją opowieść do odkrycia”, mówi o mitach na temat terapii, a także o sile tego procesu i odwadze bycia sobą

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Książka jest, jak Pani mówi, prezentem na 50. urodziny. Jak od momentu napisania pierwszych opowiadań ewoluowało Pani podejście do psychoterapii i do własnej drogi?

Mam więcej pokory wobec procesu. Zawsze będziemy nosić w sobie obrazy: emocji, spot-kań, twarzy, sytuacji. One już są w nas zapisane i nie znikną. Ale możemy je przekształcać, nadać im nowe znaczenie. Psychoterapia nie leczy w sensie prostym. Wiele osób myśli: teraz będę zdrowy, nigdy się nie rozplączę, nie wybuchnę złością. A terapia działa w taki sposób, że uczy, jak ta sytuacja dotyka starego obrazu. Dzięki terapii wiem, że mogę z nim coś zrobić, bo dzięki spotkaniu z prawdziwym ja tworzę nowy obraz siebie. Kiedy zmieniam obraz siebie, mogę też zmienić wszystkie obrazy wokół. Pewnych rzeczy nigdy się nie pozbedziemy, zostaną w nas na zawsze, ale mamy wybór, jak z nimi żyć, jak „obsługiwać” to, co się z nami dzieje.

Powiedziała Pani, że psychoterapia nie uzdrawia, a zarazem, że działa. Na czym więc polega to działanie?

To ważne rozróżnienie. Z procesu terapeutycznego jest tak jak ze złamaną ręką – w miejscu złamania zawsze będzie bardziej krucha. W terapii uświadamiamy sobie schemat: reaguję tak, bo... Rozumiem, skąd on się bierze. A działanie polega na tym, że mam wybór. Podam przykład: na warsztatach mój kolega poprosił, aby uczestnicy unieśli ręce jak dziecko do ojca. Jedna kobieta chciała podnieść ręce, ale nie dała rady i wybuchła płaczem. Zapytałam, co się stało. Odpowiedziała, że kiedy jako dziewczynka podnosiła ręce w stronę ojca, koń-

czyło się to biciem. Miała obraz ojca, który bił. Dziś jako dorosła kobieta zawsze patrzy na dłonie mężczyzn, czy są delikatne, czy grube jak u jej ojca. Zrozumiała to, zobaczyła też, że teraz jest już bezpieczna i umie się chronić, a następnego dnia mogła unieść ręce. Terapia działa w ten sposób, że moje ciało nie decyduje za mnie, tylko ja decyduję, co z tym zrobię, rozumiejąc, dlaczego się tak, a nie inaczej zachowuję.

Co według Pani jest najczęstszym mitem na temat psychoterapii, który powstrzymuje ludzi przed wejściem w ten proces?

Największy mit to przekonanie: „Rozpadnę się i nikt mnie nie pozbiera”. To lęk, który pojawia się bardzo często. A prawda jest taka, że choć terapia dotyka trudnych rzeczy, to nigdy nie boli tak, żebyśmy nie byli w stanie tego przeżyć – bo to, co nas spotkało, już kiedyś przeżyliśmy. Jeśli bezbronne dziecko potrafiło znieść przemoc, odrzucenie czy samotność, to dorosły nie jest już tamtym dzieckiem – nie ma tej samej bezradności. Proces terapeutyczny nie jest w stanie nas „rozbić” do końca. Psychoterapeuta nie ma mocy nikogo „rozpaść” ani „pozbierać”. To, co rzeczywiście się dzieje, to proces dezintegracji pozytywnej, o którym pisał profesor Dąbrowski – rozbić starego „ja”, które do tej pory trzymało nas w sztywnej skorupie. Na przykład zobaczenie, że pomagam innym nie tylko z dobroci serca, ale też z lęku przed odrzuceniem. To bolesne, ale też niezwykle wyzwalające. I to nigdy nie dzieje się naraz – jedno obrażenie można rozbijać kawałek po kawałku przez wiele sesji, a potem na nowo układać.

Wiele osób ma opór przed tym, że terapia to „grzebanie w ranach”. Co odpowiedziałaby Pani tym, którzy mówią: „Po co rozdrapywać coś, co się już zagoiło”?

Problem w tym, że większość tych ran wcale się nie zagoiła, tylko zostały przykryte grubą warstwą strupa. Wyglądają na zabliźnione, ale wystarczy dotknąć i czujemy ból. Terapia to nie rozdrapywanie – to czyszczenie tego, co nie miało szansy się naprawdę zagoić. Czasem używam metafory blizny: można z nią żyć, przykryć grzywką, udawać, że jej nie ma. Ale kiedy blizna ciągnie, boli przy każdym ruchu, to znaczy, że potrzebuje uwagi. W relacjach to widać najbardziej – jeśli wciąż coś nas uwiera, jeśli mamy poczucie dyskomfortu, braku spokoju, to znaczy, że w środku jest miejsce, które nigdy nie zostało zaopiekowane. Terapia pozwala to miejsce wreszcie otulić.

Pisze Pani, że każdy z nas „nosi w sobie osobistą narrację”. Często myślimy o sobie jak o gotowym „kimś” – kimś, kto „już jest” i „taki po prostu ma charakter”. Pani sugeruje, że jesteśmy raczej opowieścią: żywą, zmienną, piszącą się każdego dnia od nowa. Jak Pani jako psychoterapeutka patrzy na tę wewnętrzną narrację? Czy psychoterapia to bardziej odkrywanie tej opowieści, odczytywanie tego, co już zapisane, czy raczej proces twórczy?

Składamy się ze słów. Nasza tożsamość to słowa. Zawsze byłam wybierana do wierszyków, piosenek, konkursów. Nie mam lęku przed tym, że ktoś mnie nie wybierze, bo mam tak bardzo zapisane w ciele, że ja zawsze będę wybrana. Przyjaciółka powiedziała mi, że ona nie była wybierana, ponieważ się wsty-

dziła, a na dodatek była biedna. Ja mam narrację: zawsze mnie wybiorą, zawsze sobie poradzę, nawet jeśli mam kiepskie ubranie. A ona ma narrację: jestem biedna i muszę się wstydzić tego, kim jestem. Pierwsza rzecz: odkryj, co o sobie mówisz, na podstawie tego, co do ciebie i wokół ciebie mówiono. I druga rzecz: musimy napisać nową historię. Pewien mężczyzna powiedział u mnie na warsztacie, że jest uwięziony w słowach niewypowiedzianych przez swoich rodziców. Nigdy nie słyszał, że jest mądry, że jest wystarczający, że są z niego dumni. I teraz jako 38-latek musi napisać swoją opowieść o sobie. Zawsze mnie porusza, gdy ktoś mówi: „Wiem, że to głupie, co teraz powiem, być może będziecie się śmiały”. On ma narrację: to, co mam do powiedzenia, jest głupie. Więc pewnie będzie milczał. Dlatego potrzebujemy odkryć opowieść, w której jesteśmy zanurzeni, zdecydować, które kawałki z tego chcemy wziąć, a które nie stanowią prawdy o nas. Charakter i osobowość to coś, co mamy ukształtowane. Jeżeli jestem lękowa, to nie znaczy, że urodziłam się lękowa. To znaczy, że tego lęku doświadczyłam, doświadczyłam też, że świat nie jest bezpieczny, że muszę się wstydzić, że być może byłam odrzucana. Mamy to w doświadczeniu, a teraz możemy to zmienić.

Opowiadania terapeutyczne są do tego skutecznym narzędziem?

Tak, ponieważ lepiej myślimy obrazami niż słowami. Obraz daje nam więcej możliwości. Kiedy ludzie piszą, co dzięki nim odkryli, zastanawiałam się, czy na pewno rozmawiamy o tym samym opowiadaniu terapeutycznym. Wszy-

scy mamy mechanizmy obronne i mogę powiedzieć, że to opowiadanie mnie nie dotyczy, ale mogę za miesiąc do niego wrócić i pomyśleć, że coś w tym jest. Łatwiej rozmawiać o bohaterach opowiadań niż o sobie. Warto jednak przejrzyć się nie tylko w opowiadaniach, ale także w ludzkich twarzach.

Czy któreś z opowiadań zawartych w książce szczególnie rezonuje z Pani historią?

Nie ma tam mojego opowiadania terapeutycznego. Ale większość ze mną rezonuje, bo pisałam je dla bliskich mi osób, przyjaciół, znajomych – nie pacjentów, nie obcych. Rezonują, bo widzę zmianę tych ludzi. Niesamowite jest patrzeć, że kiedyś pisałam je dla nich, a dziś oni są w terapii albo ją ukończyli. To wzrusza, bo pokazuje, jak głęboko działa proces i jak spektakularna bywa zmiana i jak terapia działa. To dla mnie bardzo poruszające.

W opowiadaniu „Ostryga” pisze Pani, że „składamy się z ludzkich twarzy”. Co to oznacza z perspektywy terapeuty?

Mamy ten komfort, że podczas naszej rozmowy widzimy się w kamerkach. Normalnie, gdy z kimś rozmawiam, nie widzę swojej twarzy, a teraz widzę moją twarz. Widzę też, jak pani na mnie reaguje i to daje mi informacje o mnie samej. Jeżeli powiem, że ostatnio przegapiłam dwa mejle i przyjechało za dużo ludzi na warsztaty, a pani uśmiechnie się i powie: „To się zdarza, ludzie popełniają błędy”, wtedy dostaję życzliwe spojrzenie. Ale pani może w tym momencie obdarzyć mnie surowym spojrzeniem i powiedzieć, że to było nieprofesjonalne. Składamy się z ludz-

kich twarzy, bo potrzeba akceptacji i bycia przyjętym jest dla nas kluczowa. Nieestety, często składamy się z twarzy oceniających, surowych, osądających, czasem każących. Mamy bardzo mało doświadczeń łagodnego, życzliwego czy czułego spojrzenia.

Ludzie częściej nie znają swojej opowieści, czy raczej nie chcą jej znać, bo jest zbyt bolesna?

Nie znają. Gdybyśmy znali, to bylibyśmy świadomi różnych rzeczy, a musieliśmy się chronić i pewne rzeczy wyprzeć. To jest coś takiego, o czym wspomina Krzysztof Czeczot: dziecko nie może pomieścić tego, że rodzic mu to robi, więc musi coś z tym zrobić i mówić: „To moja wina, ja na to zasłużyłem”. Wielu dorosłych ludzi mówi do mnie: „Jako dziecko byłem nieznosny. Zasłużyłem na lanie”. To jest bardzo trudne powiedzieć, że nikomu nie należy się lanie, bo trzeba by powiedzieć: „Moi rodzice byli oprawcami albo nie radzili sobie”. Znowu wracamy do pamięci ciała. Często pracuję z ludźmi w traumie i nawet jako terapeucie momentami mi się nie mieści w głowie ogrom zł, który mógł się wydarzyć w domu. Jeżeli to wtedy tak strasznie bolało, to boimy się, że będziemy musieli przeżyć to na nowo. Natomiast warto wiedzieć – i tu chcę dać nadzieję – że to odbywa się naprawdę powolutku. Dlatego terapia trwa długo, bo nie chcemy nikogo łamać.

W książce pojawia się zdanie: „Płacz rozpuszcza lęk”. Ale wielu ludzi wchodzi w terapię z ogromnym napięciem i przekonaniem, że „nie wolno im płakać”, bo „to oznaka słabości” albo „nikt i tak nie zareaguje”. Jak two-



FOT. MASZA KUBIAK

Dr Agnieszka Kozak: Nie jesteśmy na nic skazani, możemy zaufać, że miłość jest możliwa

rzy Pani przestrzeń do tego pierwszego, często przełomowego płaczu? Czy to dzieje się samo, czy trzeba to „wycze-kać”? Co zmienia się w człowieku po autentycznym płaczu, który ktoś po prostu przyjmuje?

To wydarza się w spotkaniu, kiedy ktoś naprawdę poczuje, że jestem po jego stronie. Miejsce na płacz powstaje wtedy, gdy człowiek ma pewność, że ten drugi jest blisko, że to przyjmie i wytrzyma. Najtrudniejsze są wspomnienia momentów, gdy słyszeliśmy: „Czemu ryczysz? Histe-

ryzujesz. Idź się uspokój”. To komunikaty, które wielu z nas nosi w ciele. W terapii mamy czas. Pamiętam pacjentkę, która zaczęła płakać pięć minut po rozpoczęciu sesji i płakała przez kolejne czterdzieści. Po wszystkim powiedziała, że to była najlepsza sesja w jej życiu.

Dlaczego tak wielu ludzi – jak bohaterowie książki – powtarza sobie, że „zawsze sobie poradzą”? Co kryje się pod tą pozorną siłą?

Lęk przed tym, że jeśli wej-
dę w zależność i zacznie mi zale-

żeć, to zostanę porzucona. Kiedy jestem samodzielna, mogę być sama i mogę sama decydować. Ale jeśli coś od kogoś wezmę, jeśli pozwolę sobie na bliskość, to za-cznie mi zależeć. I co wtedy, jeśli ktoś jednak uzna, że nie jestem wystarczająco dobra i odejdzie? Lepiej nie ryzykować. To paradoks lęku przed bliskością, który w rzeczywistości jest lękiem przed porzuceniem, a nie przed samą bliskością.

W opowiadaniu „Kryształ” pisze Pani, że bycie „kryszta-

łowym” bardzo odgradza. Czy perfekcjonizm to zbroja naszych czasów?

Ostatnio byłam u znajomej, która była perfekcyjnie przygotowana na nasze spotkanie. Potem pomyślałam, że to było aż napinające. My w relacjach się odzwierciedlamy, więc jeżeli spotykam kogoś, kto jest idealnie przygotowany, od razu mam w głowie, że ja nie jestem tak idealna. Lubię opowiadanie o kryształach, bo pamiętam kryształy z dzieciństwa. Czasami mam takich perfekcjonistów, narcystycznych, i kiedy chcę się na przy-

kład spontanicznie przytulić, wejść w ten kontakt, od razu pojawia się zachowanie, od którego można się odbić, dostać kolejną uwagę, krytykę. Ma pani rację: to współczesna zbroja. Nie możesz podejść za blisko, bo twoja autentyczność jest zagrażająca.

Ale czy nie jest tak, że współczesny świat wymaga od nas perfekcjonizmu, windując poprzeczkę i napędzając wyścig szczurów? Świat wtłacza nas w perfekcyjne ramy?

Świat to ludzie. My sami się wtłaczamy. Kiedy pracowałam z korporacjami, bardzo często słyszałam od pracowników, że „szef czegoś wymaga”, „szef na pewno tego oczekuje”. Odpowiadałam: „A co ty na to, żebyśmy sprawdzili?”. I nagle wychodziło, że szef tego wcale nie oczekiwał. Ostatnio na warsztacie jedna menedżerka wręcz się rozpłakała, gdy usłyszała, jak inni ją odbierają. To się samo napędza. Nie umiemy znaleźć tego momentu, w którym moglibyśmy powiedzieć: „Wystarczy”. To słowo jest kluczowe. Być może nikt nam nigdy nie powiedział: „Wystarczy”. Albo nikt nigdy nie usłyszał naszego „wystarczy”. Przypomina mi się dziecko, które mówi: „Nie chcę już pierożków”, a my je napychamy dalej. I potem tak trudno nam w dorosłości trzymać swoje granice.

W książce pada zdanie: „Bohaterowie ratujący świat, bo ich świata ktoś kiedyś nie uratował”. To opisuje mechanizm, który dotyczy wielu dorosłych: empatycznych, wspierających innych, a w środku wciąż będących dziećmi, które musiały zbyt szybko dorosnąć. Jak w terapii pracuje się z tym przymusem ratowania innych kosztem siebie?

Podstawą jest uświadomienie sobie, że próbuję uratować siebie z przeszłości, bo nikt tego wtedy nie zrobił. I że dziś nie muszę już ratować – dorośli ludzie biorą odpowiedzialność za swoje życie. W terapii często pada zdanie, które potrafi zmienić wszystko: „Ratownik zawsze tworzy ofiary”. Jeśli nieustannie kogoś ratuję, odbieram mu możliwość rozwoju, sprawczości, wpycham go w rolę bezradnego. Wyjście z ratowania pozwala nie tylko samemu przestać żyć w ciągłym napięciu, ale też daje innym szansę, by wreszcie nie byli ofiarami własnego życia.

W „Piłeczcze” pisze Pani o współzależności. Czy to stan, z którego można całkowicie wyjść, czy raczej nauczyć się go rozpoznawać i nie powielać?

Schemat zostaje z nami na zawsze. Możemy jednak nauczyć się zauważać pierwsze sygnały: kiedy znów wcho-

dzimy w rolę wybawcy, usprawiedliwiamy, nie stawiamy granicy przemocy albo wycofujemy się, żeby uniknąć konfliktu. Z relacji współzależności – tych tak zwanych toksycznych – można wyjść i nigdy do nich nie wrócić. To decyzja podjęta na poziomie woli. Ale jeśli mechanizm jest bardzo silny, kluczowe jest złapanie momentu, w którym on się uruchamia. Rozpoznanie: „Znowu to robię, znowu zajmuję się kimś kosztem siebie, za chwilę oberwę”. To, co w „Piłeczcze” porusza ludzi najbardziej, to przekonanie bohaterki: „Jestem po to, żeby wszyscy byli zadowoleni”. Że mam zrobić wszystko, a inni mogą zrobić wszystko ze mną, bo ważne jest tylko to, co oni czują i myślą, a nie to, co czuję i myślę ja.

Wspomina Pani, że niektóre dzieci uczą się, że „cierpienie to miłość”. Jak w terapii przeformułowuje się tak trudne przekonanie?

Najpierw trzeba zobaczyć, że może być inaczej. Uświadomić sobie, że to przekonanie nie jest prawdą o świecie, tylko historią z mojego domu. Kolejny krok to dać sobie doświadczenie miłości, w której nie trzeba cierpieć: poszukać takich miejsc i relacji, które tego uczą. Dwa tygodnie pisałam omówienie jednego z opowiadań, które dotyczy masochizmu: „Tylko cierpiąc, mogę być kochana”. To niezwykle trudne do przełamania, czasem trwa latami, bo człowiek uczy się brać cokolwiek, byle dostać namiastkę miłości.

Co Pani najbardziej podziwia u swoich pacjentów?

Największy podziw czuję wtedy, gdy ktoś ma odwagę przyznać, że mimo najlepszych intencji sam krzywdził swoich bliskich. Ten moment, kiedy dociera do człowieka, że będąc skrzywdzonym, również sam zadaje rany, i że dopóki nie zajmie się sobą, nie przerwie fali krzywdzenia, to dla mnie istota procesu terapeutycznego: zatrzymać to, co nam zrobiono i nie podać tego dalej. Wewnętrznie niemal przyklekam, kiedy słyszę: „Nie jestem tylko ofiarą. Jestem też tym, kto krzywdzi, choć bardzo tego nie chcę”. To moment przełomowy, który potrafi przyspieszyć terapię w niesamowity sposób.

Gdyby miała Pani zostawić czytelnikom jedno zdanie – klucz z książki, które może stać się drogowskazem w szukaniu siebie, jakie by to było zdanie?

Każdy z nas ma prawo do dobrego życia i w każdej chwili możemy podjąć decyzję, żeby zrobić coś inaczej. Nie jesteśmy na nic skazani, możemy zaufać, że miłość jest możliwa. ©

Co czuje zwierzak, gdy jego opiekun nagle znika na tydzień lub dwa? Tak naprawdę wszystko zależy od tego jak przygotowujemy na to zwierzaka i jak często się to dzieje - podkreśla behawiorystka.

- Jeśli zostawiamy go pod opieką osoby, z którą zdążył już się poznać i polubić, a dodatkowo zostaje on we własnym domu, nie powinno być to dla niego traumatycznym doświadczeniem. Oczywiście wszystko zależy też od naszych relacji z pupilem - nigdy nie jest tak, że zwierzę nie tęskni za ukochanym panem czy panią (spróbujmy wyjść z domu na 5 minut i wrócić, a pies będzie cieszył się jakby nas nie widział tydzień), ale jeśli zadamy o to, by jego życie nagle nie było przewrócone do góry nogami, powinno być mu dużo łatwiej przetrwać taką rozłąkę - wyjaśnia Magdalena Staroń.

Czworonogi kochają rutynę

Specjalistka dodaje także, że zwierzęta mogą czuć dezorientację i zaniepokojenie, dlatego tak ważne jest, by nie zmieniać całkowicie ich codziennej rutyny, która daje stabilizację i poczucie bezpieczeństwa. Kolejny ważny aspekt związany z wyjazdem, to mniej bodźców i stymulacji, które na co dzień opiekun zapewnia poprzez zabawę czy długie spacer.

- Z tego powodu czasem mogą pojawiać się różne niepokojące zachowania tj. drapanie mebli, niszczenie czy gryzienie różnych rzeczy, ułatwianie się poza wyznaczonym miejscem. Jeśli naszą nieobecność zaplanujemy tak, by wszelkie potrzeby pupila zostały zaspokojone, unikniemy niepotrzebnych problemów behawioralnych - dodaje behawiorystka i petsitterka.

Ważne i często zadawane przez właścicieli zwierząt pytanie brzmi: Czy zwierzęta mają poczucie czasu i są w stanie powiedzieć, jak długo nie ma ich opiekuna?

Oczywiście zwierzaki nie są w stanie ocenić czy nie ma nas godzinę czy pięć, ale są w stanie stwierdzić, czy upłynęło dużo czy mało czasu od naszego wyjścia.

- Pamiętajmy, że zwierzęca komunikacja opiera się na zapachach, więc jeśli wyszliśmy dawno, nasza woń zdążyła się ulotnić z mieszkania. Dodatkowo podpowiada im to instynkt („jestem głodny, a mojego opiekuna dalej nie ma, zazwyczaj jak robię się głodny, już był” albo „chcę iść na dwór i zazwyczaj nie muszę czekać tak długo na spacer”) - jeśli coś zmienia się w rytmie dnia, zwierzaki mogą zacząć odczuwać niepokój. Głównym tego powodem jest brak spełnienia ich potrzeb, przez co pojawia



Koci „foch” jest nie do końca tym, za co jest powszechnie uważany

CO CZUJĄ NASZE CZWORONOĞI, GDY WYJEŻDŻAMY NA URLOP?

Wakacje w pełni. Zanim jednak wybierzemy się na urlop, warto z wyprzedzeniem zaplanować naszemu pupilowi najlepszą opiekę. Niezależnie od tego, na jaką opcję się zdecydujecie, wyjazd oznacza rozstanie z czworonogiem na jakiś czas. Czy zwierzęta za nami tęsknią? Wiedzą, jak długo ich opiekunów nie ma w domu? Zapytaliśmy o to behawiorystkę i petsitterkę, Magdalenę Staroń z gabinetu zaKOTwiczeni. Niektóre odpowiedzi mogą zaskakiwać!

Maria Miliszewska

się niepokój - mówi specjalistka.

Jak rozłąka wpływa na czworonoga?

To bardzo indywidualna kwestia i zależy od charakteru danego pupila. Są zwierzęta, które całe dnie spędzają z opiekunem i dla nich takie rozstanie może być bardzo trudne (np. psiaki z lękiem separacyjnym), ale są też takie które świetnie odnajdują się np. w hotelach dla psów i towarzystwo innych zwierzątek wpływa na nie bardzo korzystnie. Jak jednak do-

daje Magdalena Staroń, warto oddając psa pod czyjąś opiekę przeprowadzić wizytę zapoznaczącą w nowym otoczeniu.

- Jeśli chodzi o koty, to raczej nie warto zmieniać im miejsca pobytu - lepiej, aby ktoś doglądał zwierzęcia w jego domu, niż żeby mruczek spędził czas w hotelu lub obcym miejscu. Koty dużo gorzej niż psy znoszą zmiany i niejednokrotnie stres z tym związany jest dużo silniejszy niż nieobecność opiekuna, a jego następstwa wiążą się z problemami behawioralnymi takimi jak agresja, lęk czy

ułatwianie się poza kuwetą. Pod naszą nieobecność koty w domu często są mniej aktywne, więcej śpią - czasem przez to mniej jedzą, ale generalnie znoszą to lepiej niż w nowej przestrzeni - wyjaśnia specjalistka.

A czy zwierzęta tęsknią tak jak ludzie? Odpowiedź na to pytanie nie jest dla miłośników czworonogów zaskoczeniem...

- Jak najbardziej - potwierdza petsitterka. Chociaż, jak wyjaśnia, nie możemy w pełni zrozumieć wewnętrznych przeżyć zwierząt, istnieją liczne

Dziennik Bałtycki
Piątek, 1.08.2025

obserwacje i badania naukowe sugerujące, że wiele gatunków doświadcza emocji takich jak smutek czy tęsknota w sposób porównywalny do ludzi. Psy czy koty potrafią też przechodzić swego rodzaju żałobę po śmierci opiekuna czy towarzysza, często jest to również stres który obniża apetyt czy sprawia, że zwierzę jest apatyczne - dokładnie tak samo jak my ludzie.

Specjalistka wyjaśnia przy okazji, że koci „foch” jest nie do końca tym, za co jest powszechnie uważany.

- Wiąże się to nie tyle z obrażą na nas, co ze zmianą trybu funkcjonowania pod naszą nieobecność. Kot po prostu potrzebuje na nowo oswoić się z tym, że w domu dużo się dzieje. My również często nie pomagamy i od razu po powrocie chcemy zwierzaka poprzytulać i wygłaskać, co może skutkować przebodźcowaniem i zwierzę może zacząć nas unikać. Warto dać mu chwilę, a wtedy zazwyczaj sam spróbuje nawiązać z nami kontakt - mówi.

Wylewne pożegnania? Lepiej nie...

Magdalena Staroń podkreśla, że wylewne pożegnania mogą mieć odwrotny skutek do zamierzonego. Bódcujemy zwierzę, nakręcając je i później zostawiamy bez możliwości rozładowania.

- Lepiej podejść do tego spokojnie i pogłaskać psa czy kota przed wyjściem niż wołać go do korytarza żeby się pożegnać, gdyż to sugeruje, że chcemy coś jeszcze z nim zrobić, a tak naprawdę zostawiamy go pod drzwiami - wyjaśnia.

Czy zwierzęta rozpoznają nasze przygotowania do wyjazdu - walizki, nerwową atmosferę?

Zwierzęta to świetni obserwatorzy, dlatego doskonale wyczuwają ludzkie emocje - stres, ekscytację czy np. pośpiech. Behawiorystka zaleca, by w przypadku częstych wyjazdów wyjmować walizki w różnych momentach, a wtedy nie będą kojarzone z dłuższymi wyjazdami.

Zwierzęta przywiązują się do tymczasowych opiekunów?

- Oj zdecydowanie tak! To też ta część pracy petsittera, która przynosi wiele satysfakcji, bo budowanie więzi, chociaż czasem zajmuje trochę czasu, pozwala obserwować, jak pomimo nieobecności opiekuna zwierzak jest w pełni zrelaksowany i spokojny, a na nasz widok reaguje machaniem ogona lub głośnym mruczeniem - mówi z uśmiechem specjalistka.

Przyznaje, że taka relacja może być dla zwierzęcia bardzo pomocna w czasie nieobecności właściciela. A jeśli opiekun tymczasowy pojawi się wcześniej (np. kilka razy przed wyjazdem właściciela), to ułatwia

tym samym zwierzęciu adaptację i nawet kiedy pojawia się sam, zwierzak zna jego zapach i nie jest zestresowany.

- Chociaż głównie zajmuję się kotami, to zdarzyło mi się, że psiak, który spędzał u mnie „swoje wakacje”, nie chciał wracać do domu. I mimo że powrót opiekuna bardzo go ucieszył, to zamiast wsiąść z nim do samochodu, prowadził go do mojego mieszkania. Właściciel oczywiście był bardzo zadowolony, bo świadczyło to tylko o tym, że pobyt nie był dla psa czymś ciężkim, a przyjemnym. Od tamtej pory piesek regularnie wraca do mnie podczas delegacji właściciela - opowiada behawiorystka.

Zadbaj o komfort zwierzaka

Bardzo ważne jest, by przyzwyczajając pupila do tego, że czasem nie ma nas w domu trochę dłużej - podkreśla Magdalena Staroń. - Wyjdźmy czasem na kilka godzin, aby zwierzak miał możliwość przyzwyczaić się do naszej nieobecności. Możemy nauczyć zwierzę korzystania z misek automatycznych, które otwierają się o ustalonej porze, możemy także nauczyć go zabaw logicznych - dadzą one zajęcie na czas naszej nieobecności oraz zajmą pupila i sprawią, że nie będzie się nudził.

- Jeśli planujemy wyjazd na dłużej, warto jest znaleźć zaufanego opiekuna, który nie tylko przyjdzie i da jeść, sprzątnie kuwetę czy weźmie na spacer, ale spędzi ze zwierzakiem trochę czasu i poobserwuje jego samopoczucie. Warto przygotować odpowiedni zapas karmy, leków, żwirku, czy ulubionych przysmaków lub zabawek - dobrze też jest zostawić szczegółową instrukcję co i kiedy pupil je, jakie leki dostaje, czego się boi lub unika oraz co sprawia mu radość - dodaje specjalistka.

A po powrocie...

Najlepszy sposób na odbudowanie relacji po powrocie to: cierpliwość, spokój i przewidywalność - podkreśla Magdalena Staroń i dodaje, że jeśli nasza nieobecność była naprawdę długa, warto pamiętać, że przywieźliśmy ze sobą nowe zapachy i kot czy pies musi się do nas trochę przyzwyczaić. Przez to niekoniecznie będzie chętny do bliskości.

- Psy zazwyczaj reagują bardziej entuzjastycznie, ale należy pamiętać, że nasz powrót to sporo emocji. Nawet jeśli bardzo się stęskniliśmy, powinniśmy starać się zachowywać spokojnie. Histeryczna radość może zwierzę pobudzić i zestresować i na jakiś czas zniechęcić go do nas. Kot czy pies potrzebuje poczucia, że wszystko wróciło do normy. Jeśli damy mu przestrzeń i czas, szybko znów zaczną domagać się naszej uwagi.

Plebiscyt **Najlepszy Sklep i Usługa** Lata 2025

Trwą tegoroczna edycja, edycja plebiscytu „Najlepszy Sklep i Usługa Lata”. To wyjątkowa okazja dla przedsiębiorców, aby pokazać swoje produkty i usługi szerokiemu gronu odbiorców. Do wygrania kampanie reklamowe w naszych mediach.

Promocja lokalnych przedsiębiorców

Głównym celem konkursu jest promocja lokalnych

przedsiębiorców, budowanie ich pozytywnego wizerunku oraz wspieranie wysokiej jakości usług. Chcemy także pokazać i wyróżnić te miejsca, które oferują wysoką jakość obsługi i wspaniałą atmosferę. Udział w konkursie to dla przedsiębiorców szansa na zaprezentowanie swojej oferty.

Atrakcyjne nagrody

Na laureatów konkursu czekają atrakcyjne nagrody-vouchery na kampanie rekla-

mowe w naszych mediach:

I miejsce: kampania reklamowa o wartości **18 000 zł**,

II miejsce: kampania reklamowa o wartości **13 000 zł**

III miejsce: kampania reklamowa o wartości **8 000 zł.**

Na laureatów miejsc **IV-VI** czekają wyróżnienia - voucher na kampanie reklamowe o wartości **8 000 zł.**

Ważne daty

Już 1 sierpnia, o godz.12.00
rozpocznie się głosowanie

na „Najlepszy Sklep i Usługę Lata”. Poniżej przedstawiamy nominowanych kandydatów.

Głosowanie potrwa do 14 sierpnia 2025 r., do godz. 21.00. Pełną listę kandydatów wraz z instrukcją głosowania można znaleźć w serwisie w naszym serwisie pod adresem:

dziennikbałtycki.pl/nsiul2025



NAJLEPSZY SKLEP I USŁUGA

PLEBISCYT LATA 2025

naszemiasto.

Poznaj uczestników plebiscytu na **Najlepszy Sklep i Usługę Lata**

Wesprzyj swoich faworytów, wybierz najlepszy sklep i usługę w naszym mieście!

Start głosowania 1 sierpnia, o godz. 12.00

Aby oddać głos, wyślij na numer 7303 SMS o treści podanej przy kandydacie.

Koszt SMS-a 3,69 zł z VAT



1	Sklep i Usługa	Stacje Diagnostyczne Mański	GSU.1	17	Sklep i Usługa	Delikatesy Rybne Krewetka	GSU.17
2	Sklep i Usługa	Dort-med	GSU.2	18	Sklep i Usługa	GOŚCINIEC MALINÓWKA	GSU.18
3	Sklep i Usługa	Rzecznik Tomasz Piotrowski	GSU.3	19	Sklep i Usługa	SportPark Przemyśl	GSU.19
4	Sklep i Usługa	Ośrodek Szkolenia Zawodowego Gospodarki Morskiej	GSU.4	20	Sklep i Usługa	RATATUJ 24	GSU.20
5	Sklep i Usługa	Sala Perłowa w Rybniku	GSU.5	21	Sklep i Usługa	Off-road Taxi	GSU.21
6	Sklep i Usługa	AN-BA Słodkiz i produkty dla dzieci	GSU.6	22	Sklep i Usługa	Restauracja Piastowska 198 w hotelu Prawdzic	GSU.22
7	Sklep i Usługa	BUBBLEMANIA	GSU.7	23	Sklep i Usługa	Fotograf Studio Wspomnień	GSU.23
8	Sklep i Usługa	Dóm Złote Pola	GSU.8	24	Sklep i Usługa	Stacja Wodna	GSU.24
9	Sklep i Usługa	PAŁAC GODĘTOWO	GSU.9	25	Sklep i Usługa	Przeprowadzki Trójmiasto Tragarzówka	GSU.25
10	Sklep i Usługa	Restauracja Babcia Stefcia	GSU.10	26	Sklep i Usługa	ZONDA.aero	GSU.26
11	Sklep i Usługa	KarKo Domy Drewniane	GSU.11	27	Sklep i Usługa	Bez Patentu	GSU.27
12	Sklep i Usługa	Beauty Clinic By Dorota Ćwiklińska	GSU.12	28	Sklep i Usługa	Green Club	GSU.28
13	Sklep i Usługa	TRACZER PRACE WYSOKOŚCIOWE	GSU.13	29	Sklep i Usługa	Mestenza	GSU.29
14	Sklep i Usługa	ZAJAZD JONATAN	GSU.14	30	Sklep i Usługa	EXECUTIVE MYJNIA&AUTO DETAILING	GSU.30
15	Sklep i Usługa	AUTO PAW WARSZTAT SAMOCHODOWY	GSU.15	31	Sklep i Usługa	BM Cars	GSU.31
16	Sklep i Usługa	Paulina Turska Dance Academy	GSU.16	32	Sklep i Usługa	"NON TRIES"	GSU.32

Głosowanie w konkursie trwa **od 1 sierpnia 2025 r., od godz. 12.00 do 14 sierpnia 2025 r., do godz. 21.00**

Więcej informacji na stronie www.dziennikbaltycki.pl/nsiul2025

Informacji o akcji udziela: Paweł Świątkowski, e-mail: pawel.swiatkowski@polskapress.pl, tel. **697 770 202**

JAZZ W NAZWIE, DUSZY, SERCU I EMOCJACH. GDYNIA DAMAMI JAZZU STOI!

Od urzekającej zwyczajności, do trudnych rozmów i żywiołów różnej maści. Improwizacja, jazz i kobiecość w różnych wymiarach – zastanawiamy się, jak było na Energa Ladies' Jazz Festival

Tomasz Chudzyński

Było inaczej niż w zeszłym roku. Inaczej, to znaczy, że było znacznie lepiej. Mielśmy naprawdę świetne artystki – mówi Maciej Farski, współorganizator Energa Ladies' Jazz Festival w Gdyni, gdy pytam o podsumowanie tej jednej z największych imprez lata w Trójmieście. - Oczywiście jest, że uczestnicząc w jakimkolwiek festiwalu nie każdy jego akcent będzie zgodny z naszym gustem. Publiczność sobie po prostu koncerty wybiera. Ale my staramy się by dobór każdego z tych festiwalowych elementów, był z najwyższej półki. Szukamy artystek ciekawych, intrygujących. Nie pomyliliśmy się, a wręcz przeciwnie. Fajnie też, że festiwal ma teraz w nazwie Energa (od nazwy sponsora głównego - red.), bo ten ostatni miał naprawdę wyjątkową energię. Dzięki wykonawczyńiom. Bo ten festiwal jest o paniach, które tu występują.

Od finału począwszy

Piorunujące wrażenie było domeną drugiej niedzieli, finałowej, Energa Ladies' Jazz Festival. Widzieliśmy koncerty, które nie były jedynie przekazem muzycznym. Były „ludzkie”, „zaangażowane” – bo takie emocje przychodzą do głowy po koncertach Dee Dee Bridgewater i Ayo.

- Nie potrafię porównać tych występów do siebie, bo były to dwa różne światy. Natomiast i jeden i drugi uderzał młotem w okolice serca i umysłu – podkreśla Maciej Farski.

Ale by mógł wybrzmieć niedzielną finał, powinno się wysłuchać koncertów go poprzedzających.

A tu prawdziwa legenda - Patricia Barber - pianistka, wokalistka - postać zasłużona nie tylko dla jazzu, która inspirowała pokazy, wielowymiarowy zbiór muzycznej sceny. Jednocześnie artystka niezwykle silna. Znaką swoją wartość, niezależną, pewną siebie, która od zawsze „rządziła” swoim muzycznym światem - przebiegiem kariery, brzmie-



Katie Melua jest tak... normalna, tak zwyczajna, że przyciąga pół ludzkości

niem, słowami oraz towarzyszącymi jej na scenie muzykami. Tymczasem w Gdyni zaprezentowała swoją najłagodniejszą, z najłagodniejszych, lirycznych wersji. Niemal w wersji smooth. Zupełnie inną, od tej z występu na gdyńskim festiwalu z roku 2006, kiedy dawała pokaz pełnokrwistego, „oldskulowego” jazzu z mnóstwem improwizacji.

- Materiał na ostatniej płycie, który Patricia Barber prezentowała na scenie, tak spokojny nie jest, aczkolwiek to jedno z najspokojniejszych jej dzieł. To nie oznacza, że nie ogląda się jej bez autentycznego zachwytu. Ona zauroczyła publiczność – mówi Maciej Farski.

Dla niej wszystkie festiwale

Chwilę po amerykańskiej legendzie wystąpiła inna właścicielka „legendarnej” renomy.

Z Polski. Czy można wyobrazić sobie jakąkolwiek odsłonę festiwalu jazzowego nad Wisłą, zwłaszcza w kobiecej odsłonie, bez Ewy Bem?

- Ewa Bem śpiewa piosenki, które już nie są jej. To są nasze piosenki, wszystkich nas. To, że 1000 osób na widowni śpiewa utwór, który w polskim radiu pojawił się ostatnio 20 lat temu, właśnie o tym świadczy. One są w nas. Ewa Bem śpiewała swingując, że „jej serce to jest muzyk”, opowiedziała nam co zrobiła księżniczka Anna... Było wiele innych piosenek, które słyszały dwa, trzy pokolenia Polek i Polaków. To są świetne nuty, teksty pisał ktoś ważny i te słowa są po prostu piękne, fantastyczne. I można ten jej katalog utworów puszczać dziś wnukom. Jesteśmy dumni, że mogliśmy ją gościć na scenie w Gdyni, bo Ewa Bem powinna występować na wszelkich „ladies jazz festiwalach” na całym świecie.

Inspiracja i wzór

Maciej Farski jest stanowczy - utworów Urszuli Dudziak nie da się powtórzyć. To jazzowy wokół najwyższej próby. I mało kto potrafi tak śpiewać. W Gdyni Urszula Dudziak zaprezentowała kilka nowych utworów, część zaśpiewała solo, część w towarzystwie Miki Urbaniak czy Grażyną Auguścik. Wymarzony początek, bo to mistrzyni świata otworzyła Energa Ladies' Jazz Festival 2025.

- Szkoda, że nikt nie wydaje na nowo jej płyt, chociażby tych, nagranych z Michałem Urbaniakiem. Niedawno znalazłem jej płytę z końcówki lat 70 XX w. Proszę mi wierzyć, brzmi bardzo nowocześnie. Niewiarogodne jak często teraz ktoś gra jak Urszula Dudziak na tamtej płycie sprzed lat – mówi współorganizator imprezy.

Terri Lyne Carrington, Diane Reeves, Esperanza Spalding amerykańskie wokalistki ja-

zowe wskazywały Urszulę Dudziak jako postać, bez której nigdy nie uwierzyłyby w siebie, w swoje muzyczne możliwości. Bez mała - ikona i wzór.

- Urszula Dudziak zapewniła swoim koncertem wspaniałe interludium, do tego, co nastąpiło na Energa Ladies' Jazz Festival później. Słuchaliśmy nowego materiału, który miał być wydany na płycie już w czerwcu. Tak się, niestety nie stało, bo premiera nowego dzieła Urszuli Dudziak została przełożona na jesień.

Jazz w nazwie

Na festiwalowy wtorek przyjechała „jazzwomanka”, która urodziła się w Szwecji, ale jej korzenie rodzinne są polskie, co zresztą słysząc w jej polszczyźnie, której nie powstydziliby się najznamienitsi poloniści. Vivian Buczek przywozła program oparty na twórczości Michela Le Granda, ale nie

trzymała się tego motywu kurtuzowo. Zaprezentowała też i swoje utwory oraz innych tużów jazzu. I wzbudziła prawdziwy zachwyt.

- Przypomnijmy, że w nazwie tego festiwalu jest jazz, a to muzyka improwizowana. Zatem spotyka się kilka osób i każda ma coś od siebie, coś zupełnie nowego od podstawowych akordów wymyślonych lata temu, i to w danej chwili. I to była esencja występu Vivian – mówi Maciej Farski.

A potem była Gaba Kulka, która sama o sobie mówi, że jest przedstawicielką muzyki... pstrokatej. I jednocześnie najczęściej odkrywana, bo w tak licznych projektach, zupełnie różnych od siebie, bierze udział. Dała fantastyczny koncert w asyście tria, w dokładnie takim samym składzie kiedy w 2010 roku występowała po raz pierwszy na Ladies' Jazz Festivalu. Jak zapowiedziała, wybrała swoje najmniej znane utwory. W tym przepiękną „kolyśkanę” popularnie znaną pod tytułem „Zmarcepana”.

Konkursowe wykonania w ramach Grand Prix również pokazały, że jazzowa energia pulsuje w polskiej muzyce. 19-letnia Hania Derej uzyskuje równocześnie nagrody jury oraz publiczności, co zdarza się przecież nie za często. - Hania Derej to jest muzyczne ADHD. Po prostu czad, oświadczył dla mnie wielkim odkryciem tegorocznego festiwalu – podkreśla Maciej Farski.

Jak urzec pół ludzkości

Tuż przed finałowymi koncertami, a chwilę po występach debutantek festiwalowych, publiczność w Gdyni zobaczyła drobną, dziewczęcą postać, która na pierwszy „odsłuch” śpiewa tylko jedną piosenkę, czy to „Just like a heaven” czy „Piece to piece” lub „9 millions bicycles”... Bo Katie Melua, pod względem muzycznej komercji największa gwiazda minionego odsłony gdyńskiego festiwalu, słuchaczom się nie narzuca. Niemal każdy jej utwór jest w tym samym tempie, za-



FOT. MAT. PRASOWE

Ewa Bem śpiewa piosenki, z którymi każdy może się w jakiś sposób utożsamiać

śpiewany tą samą barwą, bez udowadniania nikomu, że głosem może rozbijać kryształ w górnym C.

- Katie Melua jest tak... normalna, tak zwyczajna, że przyciąga pół ludzkości - mówi współorganizator gdyńskiego festiwalu. - A wystąpiła w hali sportowej, która nie jest przeznaczona do takich występów, dzięki najnowocześniejszej aparaturze nagłośnieniowej, stała się miejscem dla koncertu Katie Meluy wręcz stworzonym. Koncert, który sprawił, że można było zwyczajnie zapomnieć o problemach. Katie Melua zauroczyła 3 tysiące ludzi.

Najważniejszy koncert

Dee Dee Bridgewater, ponad 70-letnia przecież, ma wciąż tyle energii, że nie jeden nastolatek mógłby jej tego „powera” pozazdrościć. I kiedy śpiewa „We exist” z jej nowego projektu, to wszyscy jej po prostu w to uwierzyli.

- To, że na festiwalu, który ma w nazwie Ladies' Jazz występuje całkowicie kobiecy skład muzyczny, to nie jest żadne ciekawostka. Ale to, jakie utwory wybrała na koncert, to, co Dee Dee mówiła ze sceny, o historii, o ludzkości, polityce, potrzebie empatii... było niezwykle, a w naszych dziwnych czasach wręcz odważne. Całość była po prostu pokazem wybitności, a koncert należał w tym momencie do jednych z najważniejszych na świecie, mimo że zagrany został na raczej radosnym festiwalu - mówi Maciej Farski.

Atmosferę, choć nie była przecież gęsta i napuszczona, postanowiła rozładować suczka Dee Dee. Wymknęła się potężnemu facetowi, który miał jej pilnować w czasie 20-wyświetlu, i przybiegła do swojej pani, prosto na scenę. Niezapomniany obrazek tego spektaklu.

Ayo i opowieść o życiu

I po takim koncercie zaczął się finał - ostatni koncert Energa



FOT. MAT. PRASOWE

Urszula Dudziak jest jedyna w swoim rodzaju

Ladies' Jazz Festivalu 2025. I kolejny występ na nim, po kilku latach przerwy, znakomitej Ayo. Ona sama dziwiła się, skąd się wzięła na takiej imprezie ze swoją muzyką, której daleko od kanonów jazzu przecież.

- Jazz płynie głównie z okolic serca, a właściwie ze środka duszy. A Ayo zmusiła publiczność, aczkolwiek bez większego wysiłku, do wysłuchania tego o czym śpiewa - podkreśla Maciej Farski.

Utwory poprzedzone opowieścią, często pełną emocji, z trudnymi pytaniami, niezwykłymi w muzyce pop tematami - tak właśnie od kilku lat wyglądają koncerty Ayo. I każdy kto słuchał jej koncertu z minionej niedzieli mógł zrozumieć nie tylko jej życie. Przykład utworu mocno przejmującego „Royal” z jej ostatniej płyty. A pięciominutowa opowieść, o czym to jest sprawa, że studyjna wersja

nie dorasta do pięt temu, co usłyszeliśmy na koncercie. A były jeszcze i inne, mocne tematy z utworów „Closer”, „Beautiful”, i parę innych.

- Wydawać by się mogło, że ten ciężar będzie przygnębiający. Ale każdy wyszedł z tego koncertu, z tego festiwalu, zadowolony. Bo to było trochę jak oczyszczenie. Żadna płyta tego nie odda - mówi Maciej Farski. Natomiast refleksja jest inna. Jak, łagodnie i bez mentalnych szkód, wrócić do rzeczywistości, po takiej dawce muzycznych emocji?

- Gdyby ktoś zapytał mnie tak zwyczajnie, kto na tym festiwalu był najlepszy, czy najgorszy, jeszcze bardziej zwyczajnie odpowiedziałbym, że nie wiem. Tak po prostu. Tego wszystkiego się już nie odtworzy. Jeśli ktoś nie był, to jego strata - mówi Maciej Farski.

©©



FOT. MAT. PRASOWE

Vivian Buczek przywoziła program opartym na twórczości Michela Le Granda



FOT. TOMASZ KAMINSKI

Dee Dee Bridgewater, ponad 70-letnia przecież, ma wciąż całe zasoby energii



FOT. MAT. PRASOWE

Ayo zmusiła publiczność do wysłuchania tego o czym śpiewa

SIEDEM WYJĄTKOWYCH DNI Z MOZARTEM

Przed nami jubileuszowa odsłona Festiwalu Mozartiana. Wydarzenie rozpocznie się 17 sierpnia. W ciągu siedmiu festiwalowych dni Gdańsk staje się miejscem spotkań muzyki kameralnej, symfonicznej, opery i sztuki reinterpretacji.

Już od dwudziestu lat Gdańsk latem brzmi Mozartem. Za sprawą Polskiego Chóru Kameralnego, który od początku stoi za organizacją festiwalu - Międzynarodowy Festiwal Mozartowski Mozartiana wpisał się na stałe w kulturalną mapę Europy. Jubileuszowa, dwudziesta odsłona wydarzenia odbędzie się od 17 do 23 sierpnia. Zapowiada się wyjątkowo. Nie tylko ze względu na bogaty program, ale przede wszystkim na atmosferę święta, celebrację idei, która od dwóch dekad łączy klasykę z nowoczesnością, tradycję z artystyczną wolnością.

Mozartiana to nie tylko koncerty - to doświadczenie. Zgodnie z wizją dyrektora artystycznego festiwalu, prof. Jana Łukaszeńskiego, Mozart staje się tu punktem wyjścia do muzycz-



Międzynarodowy Festiwal Mozartowski Mozartiana wpisał się na stałe w kulturalną mapę Europy

nych podróży - czasem zaskakujących, zawsze mistrzowskich.

Koncerty kameralne powracają do Dworu Artusa, w którym usłyszymy m.in. fortepianowe interpretacje Szymona

Nehringa, niezwykle Wiener Glasharmonika Duo grający na szklanej harmonice i verofonie, czy znakomity bułgarski zespół ClassicArt Ensemble w mozartowskich kwintetach i kwartetach.

Na głównej scenie w Parku Oliwskim zagości m.in. Litewska Orkiestra Kameralna oraz Sinfonia Varsovia, a w ramach cyklu Opera w Parku zaprezentowana zostanie pełna inscenizacja Wesela Figara Mo-

zarta z udziałem pleady polskich solistów i Polskiej Filharmonii Bałtyckiej pod batutą Massimiliano Caldiego.

Nie zabraknie także uwielbianego przez publiczność nurtu Mozart Fusion, który w tym roku reprezentuje zespół MoZuluArt - unikatowa fuzja zulu-jazzowo-klasyczna, w której Mozart spotyka rytm południowej Afryki.

Tradycyjnie festiwal zaprasza dzieci na wyjątkowe spektakle w ramach cyklu Mozart dla dzieci. W tym roku Teatr Marionetek z pałacu Schönbrunn w Wiedniu przedstawi dwukrotnie „Czarodziejski flet” w wersji marionetkowej - pełnej uroku i wyobraźni.

Wielki finał w katedrze - Händel przez Mozarta i Mozart przez nas

Zwieńczeniem jubileuszowej edycji będzie sobotni koncert finałowy w Archika-

tedrze Oliwskiej, podczas którego zabrzmie monumentalne oratorium Mesjasz Georga Friedricha Händla w opracowaniu Mozarta.

Na jednej scenie wystąpią światowej klasy soliści - Lydia Teuscher, Iestyn Davies, Krystian Krzeszowiak i Tomasz Konieczny - wraz z orkiestrą Akademie für Alte Musik Berlin i, oczywiście, Polskim Chórem Kameralnym pod dyktando Jana Łukaszeńskiego. To będzie wieczór, który zapadnie w pamięć - i serce.

Wstęp na wszystkie wydarzenia plenerowe w Parku Oliwskim jest bezpłatny. Bilety na koncerty w Dworze Artusa i koncert finałowy dostępne są na portalu bilety24.pl.

Pełny program festiwalu oraz dodatkowe informacje dostępne są na stronie: www.mozartiana.pl.

LATO TEATRALNE NA POZĄTEK SIERPNIA

Sierpień w Sopocie to nie tylko czas słońca, plaży i spacerów po molo - to także święto teatru, poezji i muzyki. W samym sercu kurortu, tuż przy brzegu morza, Teatr Atelier im. Agnieszki Osieckiej już po raz 32. zaprasza na swoje wyjątkowe Lato Teatralne.

To propozycja dla tych, którzy szukają w sztuce emocji, refleksji i prawdziwego kontaktu - z drugim człowiekiem i z samym sobą. W kameralnej przestrzeni teatru, z widokiem na fale i w towarzystwie słów Agnieszki Osieckiej, każdy wieczór będzie osobnym przeżyciem.

Już 1 sierpnia o 19.30 koncert Marcina Januszkiewicza, autora znakomitego przyjętego albumu Osiecka po męsku. W kameralnej, akustycznej odsłonie usłyszymy najpiękniejsze teksty Osieckiej w świeżych, męskich aranżacjach z gitarowym wsparciem Igora Ćwieka.

Dzień później, 2 sierpnia, scenę przejmie Iza Połomska z recitalem SING! Piosenki Agnieszki Osieckiej. Jej subtelne, emocjonalne interpretacje piosenek Poetki zyskały uznanie zarówno wśród miłośników klasyki, jak i współczesnych form piosenki literackiej.



3 sierpnia wieczorem wystąpi Mariusz Kiljan

3 sierpnia wieczorem wystąpi znakomity aktor Mariusz Kiljan z programem Na czym polega piosenka aktorska. Będzie to pełna ekspresji i humoru opowieść muzyczna, złożona z utworów Młynarskiego, Grechuty, Przybory i - oczywiście - Osieckiej.

Niezwykle wyczekiwanym przez wszystkich punktem repertuaru jest kolejna edycja ogólnopolskiego konkursu „Pamiętajmy o Osieckiej”, który potrwa od 6 do 10 sierpnia. To jedno z najważniejszych wyda-

rzeń poświęconych twórczości poetki i zarazem możliwość dla młodych, utalentowanych artystów, którzy pragną opowiedzieć „swoją” Osiecką. W dniach 6 i 7 sierpnia odbędą się koncerty o 19.30, natomiast 8 i 9 sierpnia publiczność będzie miała okazję uczestniczyć w dwóch blokach koncertów dziennie - o godz. 17.00 i 20.00 - w ramach występów konkursowych. Zwieńczeniem tego artystycznego maratonu będzie Koncert Galowy, który odbędzie się 10 sierpnia o godz. 19.30.

REJSUNKI





PULS #175

czyli
Czy w Polsce jest
bezpiecznie? Jak działają
przestępcy Str. 20-21

PAWEŁ OSTASZEWSKI: W POLSCE JEST BEZPIECZNIE. SPADA LICZBA PRZESTĘPSTW

- Bardzo wyraźnie starzeje nam się społeczeństwo. Siłą rzeczy starzeją nam się także przestępcy i dominować będą wśród nich ci, których w populacji jest najwięcej
- mówi dr hab. Paweł Ostaszewski, Instytut Wymiaru Sprawiedliwości, Uniwersytet Warszawski, współtwórca „Atlasu przestępczości w Polsce 7”

Dorota Kowalska

Nowa edycja Atlasu obejmuje analizę przestępczości w Polsce od 1970 do 2023 roku. To najobszerniejsze opracowanie tego typu w Polsce. Z waszego raportu wynika, że Polska jest bezpieczniejsza niż jeszcze 10 czy 20 lat temu, prawda?

Tak. Generalnie spadła ogólna liczba przestępstw, w tym także tych najpoważniejszych, co pewnie najbardziej cieszy, czyli tych agresywnych z użyciem przemocy, skutkujących śmiercią, czy poważnymi obrażeniami ciała. Także przestępstw seksualnych. Jedynie przestępstwa, jakie rosną, to przestępstwa narkotykowe i oszustwa. Jeżeli zaś chodzi o najczęstsze przestępstwa, te przeciwko mieniu, to spada na przykład liczba włamań, które powoli odchodzą do lamusa, ale utrzymują się kradzieże sklepowe, te w dużych marketach to ciągle spory kłopot sprzedawców. I rośnie liczba oszustw.

Gdybyśmy trzymali się liczb: z waszego raportu wynika, że tak jak w rekordowym 2003 roku popełniono niemal 4 tys. przestępstw na 100 tys. mieszkańców, to w 2023 roku było ich tylko 2 tys. To spadek o 45 procent. Sporo!

Tak, ale trzeba podkreślić, że mówimy tu o łącznej liczbie przestępstw. Więc łączymy jabłka z pomarańczami, bo to zarówno prowadzenie pojazdów pod wpływem alkoholu, niepłacenie alimentów, jak i zabójstwa czy zgwałcenia.

Właśnie, a propos tych najcięższych przestępstw. W pewnym momencie mówiło się, że powoli wracamy do lat 90., to chyba mocno przesadzona teza, bo zabójstw mamy o 40 procent mniej niż w tamtym okresie. O tak! Nie oszukujmy się też, w latach w 90. Polska dalej była bezpiecznym krajem

w porównaniu z innymi państwami, ale, oczywiście, zabójstw było trzy razy więcej niż w tym momencie.

Z waszego raportu wynika, że zanika tradycyjna przestępczość, a wzrasta przestępczość internetowa. Znak czasu?

Czyli zmiana cywilizacyjna, całe nasze życie przenosi się do internetu. Dużo mniej można dzisiaj zarobić podczas tradycyjnego włamania. Można ukrąść telewizor, który kiedyś stanowił równowartość kilku pensji, a dzisiaj już nie stanowi. Dużo trudniej go sprzedać, bo te dobra nie są już aż tak ekskluzywne jak kiedyś. Jest dużo więcej zabezpieczeń mieszkań, co też wpływa na spadek tego typu przestępstw. Wreszcie poprawiła się jakość pracy policji, ale ona jest nastawiona na tradycyjne przestępstwa, które łatwiej wykryć niż przestępczość internetową. A ta rośnie, bo – jak przed chwilą wspominałem – jest trudniejsza do wykrycia, wreszcie przestępcy w sieci czują się anonimowi, a tym samym bezkarni.

Wciąż najwięcej przestępstw to stały trend, to przestępstwa przeciwko mieniu, prawda?

Zgadza się, zmienia się tylko ich struktura. Jest dużo mniej włamań, rośnie liczba oszustw, zwłaszcza internetowych.

Jest coraz mniej bójek i pobić, kiedyś dość powszechnych. Z czego to wynika, pana zdaniem? Młodzież się zmieniła? Z jednej strony samej młodzieży jest mniej, co jest widoczne, więc wpływ na tę sytuację ma demografia. A przestępstwa, typu bójki i pobicia

są charakterystyczne dla młodych mężczyzn. To także trend związany ze sposobem funkcjonowania, czyli z przebywaniem większych grup młodzieży w przestrzeniach publicznych, dodatkowo spożywających alkohol. Do bójek tradycyjnie najczęściej dochodziło podczas wiejskich zabaw w remizach, bo bójek było zawsze więcej – wbrew ogólnemu trendowi, że więcej przestępstw jest w miastach niż na wsi – właśnie na wsiach. Jest więc kilka zmiennych, które wpływają na taki stan rzeczy: zmieniła się polska wieś i zmienił się sposób funkcjonowania młodych mężczyzn, którzy rzadziej w dużych grupach przebywają w przestrzeniach publicznych.

Chce pan powiedzieć, że teraz młodzież częściej siedzi przed komputerem niż na podwórku?

Tak, to obserwowany trend.

Mamy mniej zgwałceń – to znaczy na przestrzeni ostatnich 20 lat zwiększył się udział w przestępstwach przeciwko wolności, wolności seksualnej, obyczajowości, ale gwałtów mamy mniej. Dlaczego, pana zdaniem?

Myszę, że to trudniejsze do wytłumaczenia. Zmieniają się relacje młodych osób, a to też przestępstwo często popełniane przez młode osoby, chociaż może nie aż tak wyraźnie jak te przeciwko życiu i zdrowiu. Tymczasem zmienia się funkcjonowanie w związkach młodych osób, coraz mniej ludzi w ogóle wchodzi w związki, coraz mniej uprawiają seksu, więc jest też mniej okazji do relacji niechcianych czy wymuszonych. To może nieoczywista kryminologiczna wiedza, ale większość zgwałceń to nie są czyny popełniane przez nieznanymi mężczyzn na przy-

padkowych kobietach w ciemnych zaułkach, tylko przez znajomych, a nawet partnerów czy byłych partnerów. Im mniej kontaktów społecznych, tym mniej okazji do popełnienia tego typu przestępstw. Myszę, że zmienia się też podejście i świadomość społeczna, było dużo akcji feministycznych o tym co wolno, a czego nie wolno w relacjach, to też działa.

A czym są właściwie przestępstwa przeciwko wolności, wolności seksualnej, obyczajowości, rodzinie i opiece, bo tych przestępstw mamy więcej?

Przestępstwa przeciwko wolności seksualnej, to poza zgwałceniem, przestępstwa o charakterze pedofilskim, czyli obcowanie płciowe z osobą poniżej piętnastego roku życia czy rozpowszechnianie pornografii. Z kolei przestępstwa przeciwko rodzinie, to znęcanie się nad członkiem rodziny, ale też niepłacenie alimentów i takie rzadkie przestępstwa, jak bigamia czy rozpijanie małoletniego.

Właśnie! Coraz więcej osób nie płaci alimentów. Mówią szczerze, nie rozumiemy dlaczego, podobno jesteśmy społeczeństwem coraz bogatszym.

To też bardzo złożona kwestia. W 2017 roku zmienili się przepisy. W skrócie doprowadziło to do tego, że organy pomocy społecznej, które wypłacają świadczenia z Funduszu Alimentacyjnego mają obowiązek zgłaszania faktu popełnienia tego przestępstwa do prokuratury lub do policji, jeżeli dłużnik nie zapłacił przez kolejne 3 miesiące alimentów. To automatycznie doprowadziło do bardzo wysokiego wzrostu liczby tego typu przestępstw. Czyli

to nie jest tak, że liczba niepłacących alimentów jakoś dramatycznie się zmieniła. Nie płacą te osoby, które najczęściej nie płaciły: bezrobotne, biedne, w różnych kryzysach.

Z waszego raportu wynika, że spada liczba osób jeżdżących po spożyciu alkoholu, ale rośnie liczba tych, którzy robią to ponownie. Myśli pan, że kary są zbyt małe? Że ten problem jest źle rozwiązany systemowo? Bo mamy tak naprawdę wysoką recydywę, jeżeli chodzi o jazdę po pijanemu.

Z jednej strony, oczywiście, wzrost liczby recydywistów, którzy kolejny raz prowadzili samochód pod wpływem alkoholu może być przejawem porażki systemu. Z drugiej strony, trzeba na problem spojrzeć realnie – to przestępstwo jest związane z pewnym sposobem funkcjonowania, z ryzykownym używaniem alkoholu, albo nawet z uzależnieniem od alkoholu. Jeżeli ktoś jest uzależniony trudno go od tego odwieść. Skuteczność terapii uzależnień wynosi jakieś 10-20 procent. Jeżeli więc ktoś prowadzi samochód, bo to część jego funkcjonowania czy to zawodowego, czy innego, to nie zrezygnuje z tego tak samo, jak nie zrezygnuje łatwo z picia alkoholu. Będzie więc łapany kolejny raz. Nowelizacja ustawy, która wprowadziła zaostrzone sankcje wobec kierowców recydywistów miała poradzić sobie z tym problemem, ale jeżeli nawet terapia jest skuteczna wobec niewielkiego odsetka, to trudno oczekiwać, że reakcja karna było dużo skuteczniejsza. Można, oczywiście takich kierowców wsadzać do więzień, wtedy przez jakiś czas nie będą prowadzić po pijanemu. Pytanie, czy chcemy mieć takich kierowców w więzieniach? Czy to jest

ta efektywna i odpowiednia metoda? Ale spadającą liczbą tych pierwszy raz karanych sprawców prowadzących pod wpływem alkoholu można odbierać jako coś pozytywnego. Bo pokazuje, że to problem wąskiej grupy osób, a nie coraz szerszej.

To jak najbardziej pozytywne! Mnie zastanawia jeszcze jedna informacja, która wpływa z waszego raportu: w Polsce jest coraz bezpieczniej, przestępstw ciężkich jest coraz mniej, wykrywalność jest wysoka, bo wynosi około 70 procent, natomiast prokuratura kieruje do sądu jedynie 19 procent postępowań, które zgłasza jej policja. Z czego to wynika? Policja źle pracuje, źle dokumentuje swoje śledztwa?

To w sumie ogólnosiwiatowa obserwacja, że organy ścigania nie zajmują się wszystkimi zgłoszonymi przestępstwami. Chcielibyśmy, żeby wszystkie spotkały się z uwagą śledczych, ale ci wybierają sobie sprawy, które rzeczywiście uznają za najistotniejsze, które trzeba koniecznie przeprowadzić, a część z różnych względów uznają za niewarte prowadzenia. Powody mogą być różne: może decydować ramych organów ścigania. Prokuratura jest w stanie dobrze poprowadzić tyle a tyle spraw w sądach, bo tytu ma prokuratorów, tytu ma policjantów, więc nie chce tracić tych środków na sprawy mało istotne. Może być też tak, że w części tych spraw nie ma społecznego interesu, żeby je prowadzić i doprowadzać do skazania, które skończyłoby się np. niską karą grzywny. Patrząc na strukturę orzekanych kar, widzimy, że kara więzienia jest orzekana rzadko, dominują kary ograniczenia wolności, czyli pracy



FOT. PRZEMYSŁAW SWIDERSKI

Dr hab. Paweł Ostaszewski: W latach w 90. zabójstw w Polsce było trzy razy więcej niż w tym momencie

społecznie użytecznej i grzywny. Zatem nie każdy przestępca będzie siedział w więzieniu i oczywiście nie każdy powinien, bo np. generuje to duże koszty dla systemu - więc mamy także ekonomiczny czynnik. Może się także zdarzyć, że dla osoby zgłaszającej dany czyn, było ważne i traumatyczne doświadczenie, ale w obiektywnym, prawnym oglądzie ta konkretnie sytuacja nie wypełniła znamion żadnego przestępstwa.

Porozmawiamy trochę o przestępcach, bo grupa młodych przestępców w wieku między 17 a 20 lat, na przestrzeni ostatnich dekad zmniejszyła się trzyipółkrotnie. W 2003 roku podejrzani mający 30 lat i więcej stanowili 41 procent ogółu podejrzanych, w 2023 - 67 procent. Starzeje się polskie społeczeństwo, starzeją nam się przestępcy?

Bardzo wyraźnie starzeje nam się społeczeństwo, kiedy spojrzymy na piramidę populacyjną, to najwięcej jest teraz osób w wieku około 40 lat, to jest ta najliczniejsza populacja. Siłą rzeczy, starzeją nam się także przestępcy i dominować będą wśród nich ci, których w populacji jest najwięcej.

Ale pozytywny się wydaje fakt, że wśród młodych ludzi jest mniej przestępców.

Tak. Nawet jakby spojrzeć na udział przestępców w konkretnym wieku w liczbie osób w tym wieku w populacji, to rzeczywiście widać ten pozytywny trend. Wśród młodych ludzi przestępczość jest więc rzadsza. Mamy mniej w Polsce klasycznych młodzieżowych grup dewiacyjnych, chuligańskich czy gangów.

Największa przestępczość powinna być tam, gdzie znajdują się duże skupiska miejskie i województwem, w którym jest ona największa, jest woj. dolnośląskie.

Tak, woj. dolnośląskie, śląskie i lubuskie.

Czemu nie ma w tym zestawieniu woj. mazowieckiego?

Bo woj. mazowieckie wbrew temu, że mamy aglomerację warszawską, jest mało zurbanizowanym i uprzemysłowionym województwem. To spory obszar, dużo terenów wiejskich, mała sieć komunikacyjna, mało dużych miast poza tym największym, czyli stolicą. Jeśli porównamy sobie Mazowsze z aglomeracją śląską, to tam wyjeżdża się z jednego miasta do drugiego, nawet nie widząc, że zmieniła się miejscowość.

No dobrze, ale skąd w zestawieniu województw, w których przestępczość jest największa, wzięło się woj. lubuskie?

skie? Lubuskie to raczej miasteczka i wsie, kilka dużych miast. Czemu tam przestępczość jest tak duża?

Tam jest dużo małych miast, ale sieć miejska tam jest dużo gęstsza niż na wschodzie czy w centralnej Polsce. Jest to też związane z przewijającym się przez wiele analiz geograficznych wątkiem historii i zaborów. Lubuskie jest klasycznym województwem na ziemiach odzyskanych, ludność, która teraz tam mieszka, tradycyjnie nie była związana z tym miejscem, została tam przesiedlona. Ci ludzie zostali więc w pewnym stopniu wykorzystani, nie mieli tradycyjnych więzi: dziadków, pradziadków, którzy by im mówili, jak mają żyć, jak mają funkcjonować. Zerwanych zostało wiele kulturowo transmitowanych zasad postępowania. Panoowało tam dużo niższe przywiązanie do terenu i ziemi. Funkcjonowało takie myślenie: „dali nam ten dom, czy to mieszkanie, ale w sumie w każdej chwili mogą zabrać”, „mieszkamy tutaj, ale raz nas przyniesi, to mogą drugi raz przenieść” albo „wrócą starzy właściciele i trzeba się będzie wynieść”. Takie przekonanie było transmitowane na kolejne pokolenia, co ograniczało myślenie, że to moja przestrzeń, którą powinienem się zajmować, o której powinienem dbać, o której bezpie-

czeństwo powinienem się troszczyć. Dużo trudniej zbudować było więc na tych terenach takie zachowania, więzi i postawy, jakie są naturalne w tradycyjnych środowiskach, w których ludność żyła od pokoleń.

Czyli krótko mówiąc: mamy zachód, gdzie przestępczość jest większa i wschód, gdzie jest mniejsza?

Tak, albo inaczej mamy bardziej nowoczesny, zurbanizowany, ale bez tych korzeni i tradycyjny, wiejski i silniej zintegrowany wschód, mówiąc nieźbyt ładnie.

Jest też wyraźny podział między miastem a wsią. Przestępczość w miastach jest dwukrotnie większa niż dla wsi, ale z drugiej strony przestępczość na wsi rośnie o wiele szybciej niż w miastach. Z czego to wynika, pana zdaniem?

Większość przestępstw ma miejsce w miastach, więc trend przestępczości miejskiej jest bardzo powiązany z trendem przestępczości ogólnej. Jeżeli ogólnie spada przestępczość, to w miastach też ona spada. Wsie, które miały dużo niższą przestępczość, powoli upodabniają się do miast, to przypadek wsi pod dużymi aglomeracjami, które są włączane do miast, zaczynają tam powstawać bloki, sklepy wielkopowierzchniowe. Z tym wiąże się właśnie przestępczość klasycznie miejska. Mamy też zmiany przestępczości, o której mówiliśmy, z klasycznej, tradycyjnej na internetową. Można jej dokonywać z każdego miejsca, również z małej miejscowości.

Dzisiaj bezpieczniej jest nocą w ciemnej ulicy niż w hotelu przed komputerem!

To daleko idące stwierdzenie. Ale na pewno jest tak, że kiedyś przestrzegaliśmy dzieci: „Nie wychodź z domu zbyt późno”, teraz rzeczywiście powinniśmy się skupić na tym, co nasze dzieci robią w internecie w niby bezpiecznym pokoju obok. Tak, teraz na dziecko czyha dużo więcej zagrożeń w sieci. Zresztą podobnie jak na osoby starsze, seniorów, ale też osoby w wieku średnim.

Większa liczba cudzoziemców, która pojawiła się w Polsce, wpływa na wzrost przestępczość w naszym kraju?

Na ogólną liczbę przestępstw wydaje się nie wpływać, bo ona w ostatnich latach się stabilizuje. Widzimy jednak wzrost udziału podejrzanych cudzoziemców z ok. 2 do 5 procent. Przestępczość cudzoziemców rośnie w miarę proporcjonalnie do wzrostu ich udziału w naszym kraju. Krótko mówiąc: im więcej bę-

dziemy mieli cudzoziemców, tym więcej będziemy mieli dokonywanych przez nich przestępstw, ale to nie znaczy że oni popełniają więcej przestępstw niż np. Polacy. Inna kwestia to struktura cudzoziemców. Jeżeli przyjedzie do nas 2 miliony kobiet z dziećmi z Ukrainy, to nie są to osoby, które tradycyjnie popełniają przestępstwa, wiemy bowiem, że 90 procent przestępstw popełniają mężczyźni, głównie młodzi. Rośnie nam migracja, rośnie nam liczba cudzoziemców, ale na razie tych najlepszych pod kątem kryminologicznym, czyli tych popełniających najmniej przestępstw.

Cudzoziemcy młodzi czy nowi, jak wynika z badań, nie popełniają przestępstw, ale ci starsi, ta stara gwardia, chciałoby się powiedzieć.

Tu nie mamy dobrych danych statystycznych z Polski dotyczących konkretnie wieku cudzoziemców popełniających przestępstwa. Jest dużo badań kryminologicznych, które z jednej strony pokazują, że ci cudzoziemcy, którzy przyjeżdżają do danego kraju, ta klasyczna imigracja zarobkowa, to oni popełniają nawet mniej przestępstw niż mieszkańcy danego kraju. Pewien problem pojawia się w drugim pokoleniu takich migrantów, bo tam ta przestępczość rośnie i rosną różne postawy radykalne. Są różne wyjaśnienia, które tłumaczą, dlaczego tak się dzieje. Ci ludzie wychowali się już w nowym kraju, ale choć mają takie same aspiracje ekonomiczne jak ich rówieśnicy, to widzą, że mają w nim gorszą pozycję i mniej możliwości legalnego zarobkowania. To rodzi frustrację.

Ale to nie jest tak, czym straszą niektóre media, że wpływ cudzoziemców natychmiast przełoży się na wzrost przestępczości w Polsce?

To też złożona kwestia i niestety trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, a to nie jest popularne stwierdzenie, ale bardzo zależy od tego, jakich cudzoziemców. Mamy dane, które pokazują, nawet już w Polsce, duże różnice w przestępczości między poszczególnymi narodowościami cudzoziemców. Gruzini popełniają kilkadziesiąt razy więcej przestępstw w przeliczeniu na liczbę osób tej narodowości w Polsce niż Ukraińcy, Białorusini czy mieszkańcy Europy Zachodniej. Mamy doniesienia o grupach przestępczych z Gruzji, składających się z takiej właśnie „starej gwardii” - oni popełniają tradycyjne przestępstwa, takie jak napady na jubilerów, na kantory, trochę w stylu lat 90.: z bronią w rękę, z brutalnymi pobiciami. Tego nauczyli się

w swoim kraju, to są często osoby czterdziesto-, pięćdziesięcioletnie. Powychodzili z więzień i wracają do tego samego proceduru, więc powtarzam, to pytanie o strukturę migracji. Obecnie straszy się młodymi mężczyznami przyjeżdżającymi z krajów Afryki, czy Bliskiego Wschodu. Statystyki przestępczości krajów Europy Zachodniej pokazują jednak wyraźnie, że ci migranci rzeczywiście stanowią problem, bo popełniają bardzo dużo przestępstw. Także tych najpoważniejszych - z użyciem przemocy i seksualnych.

Najważniejsze, pana zdaniem, wnioski płynące z „Atlasu przestępczości w Polsce 7”?

W Polsce jest bezpiecznie. Wydaje się, że jeżeli zachowalibyśmy dotychczasowe trendy społeczne i demograficzne, to dalej będzie bezpiecznie. Możemy mieć jakieś zastrzeżenia do pracy organów ścigania, na przykład te sygnalizowane przez panią niskie odsetki spraw kierowanych do sądu, ale z drugiej strony wydaje się, że organy ścigania dobrze działają, w wysokim stopniu wykrywają przestępczość.

Istotnym wnioskiem jest także ten, że coraz mniej tej tradycyjnej przestępczości: pobić, przestępstw ciężkich, a coraz więcej internetowej i tej przeciwno mieniu, prawda?

Tak, więc jeżeli warto by na coś zwrócić szczególną uwagę, to właśnie na nowe typy przestępstw, nowe technologie w przestępczości. To jest na pewno coś, przed czym powinniśmy przestrzegać i czym się powinna zająć się policja.

CV



FOT. TWN

Paweł Ostaszewski

Doktor habilitowany nauk prawnych, kryminolog, magister politologii w zakresie profilaktyki społecznej i resocjalizacji, magister pedagogiki, absolwent podyplomowych studiów analiz statystycznych i data miningu. Adiunkt w Katedrze Kryminologii i Polityki Kryminalnej w Instytucie Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji UW.

JAN OŁDAKOWSKI: PRZEKAZUJ PAMIĘĆ, BO ZNIKNIĘ, JEŚLI NIE PODAMY JEJ DALEJ

Na nas spoczywa obowiązek pamiętania i życia według tych wartości, które były ważne dla powstańców. To, co zrobimy teraz, zdecyduje o tym, kim będziemy jako wspólnota – mówi Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego

Anita Czapryn

Jakie było pana pierwsze świadome zetknięcie z historią Powstania Warszawskiego?

To były dwie rzeczy. Pierwsza to album fotograficzny – duży, czarno-biały, co tylko potęgowało wrażenie, jakie robił na młodym chłopaku. Do dziś mam w oczach te przejmujące zdjęcia. Na jednym z nich powstaniec z zabandażowaną głową stoi z karabinem Błyskawica. Obok mały chłopiec, prawdopodobnie jego syn, trzyma się karabinu, nie dosięga ręki taty. Druga rzecz to opowieści mojej babci, uczestniczki Powstania Warszawskiego. Pamiętam, że czasem odwiedzał ją kuzyn. Kiedy ich słuchałem, miałem poczucie, że powstanie było dla nich najważniejszym doświadczeniem życia. Ten ładunek emocji, ich nagromadzenie, to, że oni non stop ryzykowali życie. A jednocześnie powstanie, mimo grozy, dostarczało niesamowitych zwrotów akcji. Do dziś działa mi na wyobraźnię jedna z opowieści. Babcia wspominała, że ukrywali się w budynku, w który trafił najcięższy moździerz oblężniczy – Karl-Mörser Gerät 040. Gdy pocisk wybuchł, cały dom został, jak powiedziała, rozpylony. W jednej chwili zrobiło się ciemno jak w nocy. W powietrzu było tyle pyłu, że promienie słoneczne nie były w stanie się przebić. Ludzie, przedzierając się przez ten pył, zapalili latarki, ale latarki też nie świeciły, bo pył to uniemożliwiał. Było więc takie dziwne wrażenie ciemności, szarówki, ludzie ze „ślepyimi” latarkami, które nic nie rozświećlały, chodzili obsypani pyłem, wyglądali jak pomocnicy młynarza. To była opowieść o tym, że jak wybuchnie pocisk, to robi się ciemno i że latarki tego nie roz-

świetlają. Właśnie ta scena najbardziej działała na moją wyobraźnię.

Który z momentów powstania najmocniej utkwił panu w głowie, jeśli chodzi o samą walkę, konkretne jej etapy?

Z rodzinnych opowieści pamiętam historię mojego wuja, Jacka Domaradzkiego, pseudonim „Alfa”. Gdy padało Powiśle, już pod koniec powstania, pobiegł po swoją poparzoną narzeczoną do szpitala na Górnośląskiej albo Książęcej, po jednej z tych ulic idących w górę, gdzie wykopano rów chroniący przed odłamkami. Powstanie się kończyło, szpitale płonęły. Wuj wbiegł nocą do zadymionego budynku, w którym leżała cała owinięta bandażami, chwytem strażackim zarzucił ją sobie na plecy i zaczął biec w dół. Kiedy dotarł do Wisły, poczuł, że coś jest nie tak. Zorientował się, że ona nie żyje. Była zimna, martwa. Postanowił, że się z nią pożegna, po raz ostatni zobaczy jej twarz. Była zabandażowana jak mumia, więc kiedy rozwiązał bandaż, zobaczył, że zabrał nie tę kobietę. Mimo że słuchałem wielu mocnych historii, ta opowieść mojego wuja Jacka „Alfy”, ciotecznego dziadka, zrobiła na mnie największe wrażenie. Jego narzeczona pewnie spłonęła w tym szpitalu, bo tam ślad się po niej urywa. Widocznie przestawione były łóżka, ale wyobrażam sobie, że można mieć przez całe życie wyrzuty, że się tego wcześniej nie sprawdziło, że jej nie rozpoznał, bo była zabandażowana. Myślę, że gryzł się tym do końca życia, mimo że próbował to maskować. Czuł się odpowiedzialny za tę historię i ja też w pewnym sensie czuję się odpowiedzialny,

mimo że to nie moja trauma, a wuj zrobił wszystko, co w danym momencie mógł zrobić – przypadek zdecydował, że nie uratował narzeczonej. Usłyszałem tę historię jako młody chłopak. Upadek powstańczego Powiśla Czerniakowskiego łączy się więc dla mnie z osobistą tragedią członka mojej rodziny. Wujka Jacka znam jako wesołego i zawadiackiego człowieka, pełnego humoru, ale być może w środku siedziała w nim jakaś czarna nuta, jakiś smutek.

Zdarza się panu w Muzeum Powstania Warszawskiego stanąć przy jakimś ekspozycie i poczuć naprawdę osobiście wagę historii?

Bardzo inspirująca była dla mnie wystawa, którą przygotowaliśmy rok temu: 80 pamiętek na 80-lecie powstania. To były przedmioty przekazane nam już po otwarciu muzeum. Co najmniej połowa z nich to rzeczy, które można kontemplować. W ogóle z powstaniem jest tak, że artefakty wyniesione z Warszawy po wypędzeniu mieszkańców przez Niemców lub ocalałe w obozach, są pojedyncze. W normalnych warunkach gromadzimy listy, zdjęcia, osobiste drobiazgi, ołówki, notesy, długopisy... Z czasem jest tego więcej. Ale w powstaniu wszystko zostało zniszczone. Ludzie wychodzili z mieszkania z jedną opaską,

jednym świętym obrazkiem, jednym notesikiem. To były jedne rzeczy, jakie udało się ocalić. Reszta – całe mieszkania, wszystkie pamiętki, książki, meble, biurka, porcelana – zniknęła w ogniu i gruzie. Dlatego te pojedyncze przedmioty są dla nas tak cenne. Stanowią symboliczną figurę całego utraconego świata. Mam też osobistą historię. Przed pandemią, w 2019 roku, na wigilijnym spotkaniu powstańców w muzeum poszła do mnie pewna powstanka. Powiedziała: „To już ten moment, muszę panu coś przekazać”. I wyjęła z torby talerzyk zawinięty w gazetę. Powiedziała, że znalazła go w ruinach mieszkania moich dziadków. Podała adres, więc wiedziałem, że to prawda. To był talerzyk, porcelana, ale żadna tam pierwsza liga, ładny, biały talerzyk z serwisu kawowego, do deseru. Z całego mieszkania Ołdakowskich, moich przodków, przetrwał tylko ten talerzyk. Wszystko inne zniknęło w bombardowaniu, kamienica zamieniła się w pył. Proszę sobie wyobrazić: z całego mieszkania ocalał jeden talerzyk, nawet nie żadna waza, nie sztucce, nic takiego. Tylko talerzyk. Powiesiliśmy go na ścianie. I kiedy patrzę na niego, widzę trzy pokolenia warszawiaków, bo Ołdakowscy przyjechali do Warszawy pod koniec XIX wieku. Ich świat, ich co-

dzienność, wszystko, co zgromadzili, zostało zredukowane do jednego przedmiotu. Takie właśnie są te eksponaty. Pojedyncze, zwyczajne. Anna Jakubowska „Paulinka” przyniosła kiedyś do muzeum zestaw pielęgniarski: szklaną strzykawkę, gumową opaskę uciskową. Nosiła to przy sobie całe życie, na wszelki wypadek, gdyby ktoś potrzebował pomocy. Przechowywała to przez dekady, aż w końcu przekazała nam. I znów: była to jedyna rzecz, jaką wyniosła z powstania. Mały metalowy przyborek lekarski ze zrzutów. Mój wuj, „Alfa”, miał z kolei swoją zaalaminowaną legitymację AK. Pokazywał mi ją i mówił: „Kiedyś ci to dam. Ale na razie noszę przy sobie”. To są rzeczy, które ich nosiły – i które oni nosili. Jest co kontemplować, bo pamiętki te są symbolem świata, który Niemcy zniszczyli po upadku powstania.

Jest coś, co pana szczególnie zaskoczyło przez te wszystkie lata pracy z historią Powstania Warszawskiego?

Trudno powiedzieć, że coś zaskoczyło mnie najbardziej. Niesamowite jest to, że ludzie ciągle coś znajdują. Że wciąż trafiają do nas kolejne pamiętki. Że rodziny decydują się coś przekazać. Ci darczyńcy są niesamowici; zawsze ich ciepło wspominam. Na przykład na samym początku, kiedy ogłosiliśmy zbórkę pamiętek z Powstania Warszawskiego, przyszli do nas dwaj wędkarze. Przy pomocy spinningu i kotwiczkę wyciągnęli z Wisły powstańczego stena. Przeczytali o zbiorce i postanowili oddać pistolet maszynowy do muzeum. Nie mieli wiedzy konserwatorskiej, a chcieli nam broń przekazać w dobrym stanie, więc postanowili stena odrdzewić w preparacie marki Fosol. Niestety, w efekcie częściowo zniszczyli powierzchnię pistoletu. Nigdy nie zapomnę tej mieszanki dumy i napięcia na ich twarzach. Oto dumni wędkarze, którzy przynieśli stena, i konserwatorzy z naszego zespołu, które o mało co nie zemdlały, gdy zobaczyły, co zrobił Fosol. Ale decyzją wędkarzy naprawdę nas poruszyła. Bo przecież niemal każdy chłopak w Warszawie marzył, żeby mieć w szafie takiego stena. Nawet jeśli wiadomo, że broń zniszczona przez czas nie nadaje się do użytku. Ale kusi. A oni stena oddali. Chcieli poczuć się częścią wspólnoty warszawiaków, tych, którzy dali coś swojemu muzeum. Zdecydowaliśmy się ten eksponat uhonorować. Można go dziś dotykać. To ten konkretny sten, wyłowiony z Wisły przez dwóch żarliwych i ofiarnych wędkarzy. Kiedy myślę o Powstaniu, myślę przede wszystkim o tych ludziach, którzy decydują się oddać rodzinne pamiętki. Pamię-

tam młodego człowieka, który kupił mieszkanie i znalazł w nim pudełko. Przyniósł je do nas. W środku: materiały redakcyjne „Biuletynu Informacyjnego” Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Tysiące stron cienkich maszynopisów, z podpisami dowódców powstania, szefów BIP-u, przepustki, artykuły, korekty. Cała redakcja zachowana w pudełku. Ogromna wartość historyczna. Można było to dobrze sprzedać. Ale ten człowiek przyniósł te materiały do nas, po prostu je nam ofiarował. Okazało się później, że w jego mieszkaniu przed laty kwatrowała jedna z sekretarek „Biuletynu” – zapewne to ona uratowała redakcyjne materiały i przechowywała je przez całe życie. Kiedy więc pyta mnie pani o pamiętki, myślę o nich jak o niespodziankach. O przedmiotach, które wypełnione są życiem wielu osób – właścicieli, ofiarodawców i ich rodzin. Nawet jeśli ich historia nie jest do końca znana. Ten sten z Wisły – nie wiemy, kto go tam zostawił. Może ktoś, kto nie dał rady przepłynąć. Może porzucił broń, gdy uciekał wzdłuż rzeki. Tego się już nie dowiemy. Ważne, że po latach ktoś znalazł ten pistolet i przyniósł go do muzeum.

Czego najbardziej obawia się pan jako dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, jeśli chodzi o pamięć?

Najbardziej boję się zapomnienia. Nieprzypadkowo hasło tegorocznej rocznicy Powstania Warszawskiego brzmi: „Przekazuj pamięć, bo zniknie”. Bo naprawdę pamięć może zniknąć. Może nie być komu pamiętać. Może nie być kolejnego pokolenia zainteresowanego przeszłością. Dziś żyje mniej niż 300 powstańców, więc na nas spoczywa obowiązek pamiętania i przekazywania tej pamięci. Ale także obowiązek życia według tych wartości, które były dla powstańców ważne. Ich recepta na patriotyzm to zawsze było zaangażowanie. Bycie po stronie dobra. Przeciwdziałanie złu. Aktywność. I robienie wszystkiego, żebyśmy jako wspólnota się nie rozpadli. Budowanie wspólnoty za wszelką cenę. To w powstaniu było niesamowite i nie wiem, czy dziś byłoby możliwe. Wtedy najważniejszym medium była prasa. Istniała co prawda radiostacja Błyskawica, ale w Warszawie było mało radiodiodniaków i często były problemy z prądem. Stacja nadawała na falach krótkich i średnich; docierała do Londynu, gdzie BBC nagrywało audycje. Dzięki temu możemy dziś być odsłuchiwać. Ale wtedy głównym medium była prasa. Powstańczy rząd podjął decyzję, że każda partia polityczna ma dostęp do maszyn drukarskich. Każda partia mogła drukować swoje pisma.

UPADEK POWSTAŃCZEGO
POWIŚLA CZERNIAKOWSKIEGO
ŁĄCZY SIĘ WIĘC DLA MNIE
Z OSOBISTĄ TRAGEDIĄ
CZŁONKA MOJEJ RODZINY



FOT.CC

Jan Ołdakowski: Dziś żyje mniej niż 300 powstańców, więc na nas spoczywa obowiązek pamiętania i przekazywania tej pamięci. Ale także obowiązek życia według tych wartości

Dlatego w powstaniu wychodziło 170 tytułów prasowych. Nikt nie mówił, że czyjeś poglądy są głupie. Wyjątkiem były środowiska internacjonalistyczne, komunistyczne, które otwarcie dążyły do zniszczenia polskiej państwowości; ich wykluczono jako wrogów. Ale reszta: od lewa do prawa, od syndykalistów po Narodowe Siły Zbrojne, mogła drukować swoje pisma. Dostawali papier, maszyny, zecerów, obsługę. To był akt wiary w wolną Polskę. Że społeczeństwo samo zdecyduje, komu powierzyć władzę w przyszłości. To był prawdziwy solidaryzm. Kiedy jest trudno, my, Polacy, potrafimy być piękni. Dlaczego nie potrafimy być tak piękni, kiedy jest łatwiej?

Nie obawia się pan zniekształcenia historii? W końcu dla kolejnych pokoleń może się ona stać równie odległa jak dziś powstanie listopadowe czy styczniowe.

To, co dzieje się na Ukrainie, sprawia, że Powstanie Warszawskie znów staje się aktu-

alne. Zostało wyciągnięte z lamusa historii i przemawia do nas z nową siłą. Nie słysząc już tych realistów, którzy kiedyś mówili: „Może lepiej było się dogadać z Niemcami”, „Może wspólnie coś byśmy osiągnęli”. Albo że może Gajcy, Stroński czy Baczyński by żyli, a Polacy pomagali Niemcom zwalczać komunistów. Taki nurt wśród historyków istniał. Ale powiedzmy sobie szczerze: czy Ukraińcy dzisiaj słuchaliby głosu, który mówi: „Dogadajcie się z Rosjanami”? Przecież wiadomo, że z Rosjanami nie dało się dogadać. Wchodzili do miast i robili Buczę w każdym powiecie. Eksterminowali tych, których uznali za przeciwników swojej wizji. Jeśli ktoś był patriotą, nie czekała na niego wolna prasa, tylko pośpiesznie wykopany przez koparkę rów. Powstanie Warszawskie miało dokładnie ten sam fundament: potrzebę samostanowienia, potrzebę wolności. I dlatego jest dziś tak aktualne. Być może także dlatego, że jest ostatnim polskim powstaniem. Mam nadzieję, że

tak zostanie, że nigdy więcej nie będziemy musieli podnosić broni. Bo lekcja, którą z powstania wyciągnięto, choćby Solidarność, polegała na czymś zupełnie innym. Gdy czyta się dokumenty Solidarności, widać jasno, że był to ruch pokojowy. Jan Nowak-Jeziorański mówił, że Polska nigdy nie może samotnie konfrontować się z totalitarnymi potęgami. Jeśli już, to jako część sojuszu. Inaczej nie wolno. Solidarność nie chciała militarnej konfrontacji z komuną. Choć były próby tworzenia bojówek, grup oporu, sabotażu, sypania piasku w tryby, to wszystko zostało odrzucone. Solidarność wyciągnęła więc wniosek z Powstania: nie należy się konfrontować zbrojnie. Ale z drugiej strony gdyby na ulicach Warszawy pojawiły się obce czołgi, to prędzej czy później doszłoby do powstania. Dlatego musimy zrobić wszystko, by wróg nigdy nie pojawił się wewnątrz naszych granic. To jest jedyna gwarancja, że nie będzie kolejnych powstań. Zamiast zwalczać, jak niektórzy

postulują, insurekcjonizm jako szkodliwy trend intelektualny, powinniśmy zapobiegać sytuacjom, które zmuszają ludzi do walki. Nie dopuścimy do tego, by kiedykolwiek obca siła zajęła Warszawę.

Zakiełkowałam w panu myśl o obchodach setnej rocznicy powstania, już bez żyjących świadków? Co będzie wtedy najważniejszym zadaniem w pielęgnowaniu pamięci?

Tegoroczne hasło „Przekazuj pamięć, bo zniknie” mówi wszystko. Chodzi o to, żeby uświadomić sobie, że pamięć nie trwa sama z siebie. Trzeba o nią walczyć, pielęgnować ją i przekazywać w rodzinach, domach, szkołach. My jako muzeum pracujemy z rodzinami powstańców. Mamy dla nich specjalny program „Korzenie pamięci”. To ponad 1200 osób, z którymi mamy stały kontakt. Raz w roku organizujemy dla nich piknik – coś w rodzaju rodzinnego zjazdu. Nie ma agendy, nie ma scenariusza, chodzi tylko o to, by być razem. I to naprawdę działa. Ktoś mówi: „Cieszę się, że spotkałem ludzi z Górki, bo moja babcia była z Górki”. Niby nic nas nie łączy, a przecież łączy nas bardzo dużo, na przykład to, że nasi przodkowie walczyli razem w oddziale. To pozwalała przezwyciężyć bariery. Czuję się wtedy, jakbym zyskiwał nową rodzinę. W tym roku uruchomiliśmy też program „Wytwórnia pamięci”. To projekt społecznego archiwum wspomnień z II wojny światowej, tworzonego siłami całej Polski. Chcemy ocalić pamięć

rola. Ja pamiętałam przez 80 lat. Teraz wy się tym opiekujecie”. To właśnie robimy. Prosimy seniorów: „Nagracie swoje wspomnienia, niech w tym pomogą wam wnuki czy prawnuki. Przekażcie nam te wspomnienia, a my się nimi opiekujemy”. Będziemy to robić do końca istnienia tej placówki. Te historie zostaną. Planujemy z nich ogólnopolską wystawę, obejmującą wspomnienia z całej wojny, z każdego regionu. Jeśli ktoś pamięta rok 1945 na Wale Pomorskim, niech o tym opowie. Jeśli ktoś bał się, że dziadek trafi do Wehrmachtu na Śląsku, niech to nagra. Jeśli ktoś wspomina deportację na Sybir, to także ma znaczenie. To są historie, których nikt nigdy nie nagrywał – historie dzieci. Pierwszych więźniów. Dzieci Zamojszczyzny. Wcześniej pytano dorosłych, ale nie dzieci.

Jest coś, czego w upamiętnieniu powstania jeszcze nie zrobiono, co nie zostało podjęte w obchodach, a co pana zdaniem byłoby warte spróbowania?

Powstanie Warszawskie jest trudne, wielowątkowe, skomplikowane emocjonalnie, więc potrzebuje form artystycznych, które pomogą je opowiedzieć. Wymaga języka sztuki; to dla nas naturalne narzędzie. Zależy nam na tym, by każde pokolenie miało prawo do swojej interpretacji. Tak jak Jan Komasa nakręcił „Miasto 44”, film, który był głosem innego pokolenia niż to, które zobaczyło się w „Kanale” Wajdy. Każde pokolenie ma prawo mówić o powstaniu własnym językiem. To było przecież powstanie ludzi młodych, dlatego wiele naszych działań adresujemy właśnie do rówieśników powstańców. Projekt „Wytwórnia pamięci” czy konkursy są właśnie dla nich. Obserwujemy trendy, pracujemy z artystami. Kiedy pojawia się nowa forma, nowy język, nowa potrzeba – wchodzimy w to. I będziemy wchodzić. Bo żeby dotrzeć do kolejnych pokoleń, trzeba rozmawiać ich językiem.

Jakie pytanie o powstanie zadaje pan sobie prywatnie?

Zawsze pada pytanie o sens powstania. I oczywiście uważam, że ludzie mieli prawo zdecydować, że chcą żyć w wolnym kraju. Mieli prawo się zbuntować. Ale koszty tej nienawiści niemieckiej do Polaków, zła-mania powstania, zniszczenia Warszawy, to ogromna cena. Dlatego odpowiedź na pytanie „Czy powstanie miało sens?” nigdy nie będzie dla mnie jednoznaczna. Jasność tej odpowiedzi przyciemnia fakt, że konfrontacja z silniejszym, totalitarnym wrogiem niemal zawsze kończy się tragedią. To konstatacja Jana Nowaka-Jeziorańskiego, którą trudno zignorować. Mam w rodzinie po-

wstańców. Niektórzy zginęli, ich nazwiska są na Murze Pamięci. Inni przeżyli. Dlatego nie jestem w stanie dać prostej odpowiedzi na to pytanie. Czy ci ludzie mieli prawo tak postąpić? Tak, mieli pełne prawo. Ale czy powstanie mogło zostać przeprowadzone inaczej? Czy można było coś zrobić lepiej? Nie wiem. Mogę udzielić tylko odpowiedzi opisowej, pełnej wątpliwości. Kiedyś poproszono mnie o napisanie książki dla dzieci o powstaniu. Uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie tego zrobić, bo żeby opowiedzieć dzieciom o powstaniu, trzeba byłoby dokonać uproszczeń, a ja nie chciałem niczego spłycać. Inne podejście byłoby wobec powstańców nieuczciwe.

Co powiedziałby pan tym, którzy uważają, że historia nie jest tylko patrzenie w przyszłość?

To taki koncept, który rozprowadził Francis Fukuyama w swojej słynnej książce „Konięcie historii” i – jak się okazało – bardzo się pomylił. Ja jestem raczej z pokolenia powstańców. Pamiętam, jak porządkowaliśmy dom po mojej babci. W każdej szafce, w każdej torbie miała zaszyte czyste, lnięte woreczki pełne sucharów. Dużo więcej, niż potrzebowałyby dla nas. Wiedziała, że jeśli świat się zawali, trzeba będzie nakarmić też tych potrzebujących, którzy nie byli tak przeznaczeni. I świat czasem się zawala. Tak było na przykład w pandemii. To jest ten moment, w którym trzeba mieć charakter, wyobraźnię, nie myśleć tylko o sobie i swoich bliskich, ale też o tych, których nie znamy, a którzy będą potrzebujący. Powstanie uczy nas właśnie tego: trzeba być gotowym, by pomóc innym w sposób, którego dziś nawet nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. Trzeba mieć potencjał do tego, by zobaczyć drugiego człowieka, kiedy będzie potrzebował pomocy. Wiem, że brzmi to trochę jak program harcerski. Ale to harcerze i powstańcy uczyli nas takiego społeczeństwa. I to jest społeczeństwo, w którym chciałbym żyć.

CV



Jan Ołdakowski
menedżer kultury i muzealniki, poseł na Sejm V i VI kadencji. Od 2004 dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego.

FOT. SZYMON STARNAWSKI

Pani książka „Peżetki”44. Powstańcze historie kobiet ze służby Pomoc Żołnierzowi” wydobywa z cienia kobiety, które przez lata pozostawały niemal nieznane. Kim były peżetki?

Peżetki to naprawdę niezwykle kobiety. Były członkami organizacji Pomoc Żołnierzowi, stanowiącej Podwydział Biura Informacji i Propagandy KG AK. Podczas okupacji zajmowały się pomocą żołnierzom rannym, „leśnym”, czyli partyzantom, więźniom, inwalidom. Natomiast w czasie Powstania organizowały gospody żołnierskie PŻ, które miały stworzyć walczącym namiastkę domu. Odbywały się tam koncerty, msze, czasami nawet skromne wesela. O istnieniu peżetek dowiedziałam się ponad 20 lat temu, kiedy zaproponowano mi napisanie haseł autorskich do „Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powstania Warszawskiego”. Była to książka przygotowywana między innymi przez powstańców. Pani Maria Wiśniewska „Pucia” z Batalionu „Parasol” poprosiła mnie wtedy, żebym opisała właśnie tę strukturę. Zaczęłam więc szukać informacji, czytać wspomnienia, przeglądać prasę powstańczą. Dotarłam też do materiału opracowanego przez peżetki. Był to około 10-stronicowy artykuł, który znalazł się w zbiorowej publikacji poświęconej różnorodnym służbom powstańczym. Mimo że od Powstania Warszawskiego mija już 81 lat, wciąż wiele osób nie ma pojęcia, kim były. Często się zdarza, że kiedy opowiadam o Powstaniu i mówię „peżetki”, słyszę: „Ale kto to taki?”.

W organizacji działały wyłącznie kobiety?

Tak, była to struktura całkowicie kobieca. Gdy myślimy o uczestnikach Powstania Warszawskiego, zwykle wyobrażamy sobie typowych przedstawicieli pokolenia Kolumbów - młodych ludzi mających od 16 do 25, może 26 lat. Tymczasem peżetki często były od nich starsze. Przygotowując książkę, opracowałam aneks z ponad 400 biogramami kobiet należących do PŻ. Dzięki analizie dat urodzenia i śmierci widać, że choć zdarzały się wśród nich 16-, 18- czy 20-latkami, to zdecydowaną większość stanowiły panie w wieku około 40 lat. Trafiły się też kobiety, które miały 55 czy 60 lat. Prawdopodobnie dlatego wiele z nich nosiło pseudonimy: „Mama”, „Ciocia”, „Babcia”, „Szefowa”, którymi one same podkreślały swój wiek i rolę opiekunczą. Ciekawe jest też to, że wiele z tych kobiet było świetnie wykształconych, co w dwudziestolecu międzywojennym wcale nie było oczywiste. Mamy tutaj absolwentki Uniwersytetu Warszawskiego

– Łatwiej opowiadać o zdobywaniu czołgu niż o tym, jak kobiety pod ostrzałem niosły jedzenie, opatrywały rannych. Ich bohaterstwo było ciche, szare, przez co trudne do upamiętnienia. One też mogły zginąć, gotując zupę – mówi Agnieszka Cubala, autorka książek o Powstaniu Warszawskim

Anita Czapryn



Agnieszka Cubala: Zdecydowaną większość wśród „peżetek” stanowiły panie w wieku około 40 lat albo starsze

AGNIESZKA CUBAŁA: CICHE BOHATERKI, O KTÓRYCH WCIĄŻ MAŁO WIEMY

i Wolnej Wszechnicy Polskiej, ale też uczelni w Paryżu czy Lozannie. Niektóre skończyły dwa kierunki. Wiele z nich nieustannie się dokształcało, stale podnosząc kwalifikacje, uczestnicząc w przeróżnych kursach.

Który z biogramów poruszył panią najbardziej? Jest kobieta, o której chciałaby pani powiedzieć, że zasługuje na pomnik?

Trudno wybrać jedną. Ale chciałabym opowiedzieć o Hannie Wentlandtowej

pseudonim „Zofka”. Była zastępczynią komendantki PŻ, czyli Hanny Łukaszewiczowej - „Ludwiki”. Kobieta ta miała wyższe wykształcenie, poza tym ukończyła kilka kursów doszkalających. Mam wrażenie, że przez całe życie starała się poszerzać wiedzę i kwalifikacje. Gdy patrzę, w ilu projektach uczestniczyła, jak wieloma sprawami się zajmowała, to zastanawiam się, kiedy ona w ogóle spała. W dwudziestolecu międzywojennym należała do organizacji Polski Biały Krzyż. Większość z nas zna or-

ganizację Polski Czerwony Krzyż, ale o Polskim Białym Krzyżu prawie się nie mówi. A to była naprawdę ciekawa struktura. Kobiety tam pracujące działały na rzecz likwidacji analfabetyzmu w wojsku. Poza tym organizowały m.in. gospody żołnierskie - bardzo podobne do tych, jakie później, po 20 latach, powstawały w czasie Powstania Warszawskiego. Hanna Wentlandtowa napisała publikację poświęconą temu, jak taka gospoda powinna być zorganizowana. Bardzo dokładnie opisała, ja-

kiego rodzaju książki, gry czy instrumenty muzyczne mają znajdować się w świetlicy, jak organizować czas wolny żołnierzom. Kochała teatr, więc szczególnie rekomendowała na przykład tworzenie kółek teatralnych. Mamy tam nawet informacje o tym, jak przygotować posiłki z konkretnych grup produktów i jak je serwować. To pokazuje, jak świetnie te kobiety były przygotowane do swojej roli: wykształcone, wykwalifikowane, z planem na wszystko. Ale Pomoc Żołnierzowi była częścią Biura In-

formacji i Propagandy KG AK, więc ich działalność miała wymiar, oprócz praktycznego, również propagandowy.

Co należało do zadań peżetek?

Podstawowym zadaniem peżetek było w czasie Powstania Warszawskiego tworzenie gospód żołnierskich. Można byłoby porównać je do dzisiejszych pubów, z tą różnicą, że w tamtych warunkach miały przede wszystkim dawać żołnierzom namiastkę utraconego domu. Wiele osób nawet nie zdaje sobie sprawy, że w czasie gdy Warszawa zmieniała się w miasto gruzów, gdy wybuchały pożary, trwały bombardowania i ginęli ludzie, ktoś organizował takie miejsca. Działalność gospód miała kilka celów. Zapewniały powstańcom możliwość odpoczynku, oddechu od frontu, ale chodziło też o wzmocnienie ducha walki. Peżetki dbały o to, żeby żołnierze, którzy tracili wiarę w zwycięstwo, nie poddawali się, żeby wierzyli, że ich ofiara ma sens. Ważne było także kształtowanie odpowiednich postaw i nastrojów społecznych. Warto wspomnieć, że podczas szkoleń peżetkom przekazywano informacje o sytuacji międzynarodowej, postawie Związku Radzieckiego czy polityce rządu polskiego na uchodźstwie. To wszystko było bardzo dokładnie przemyślane i zaplanowane. Już w roku 1942 generał Stefan Rowecki, ps. „Grot”, twierdził, że jeśli Polska ma pokonać potęgę, jaką była wtedy III Rzesza, trzeba perfekcyjnie wykorzystać nowoczesną broń psychologiczną, czyli propagandę. Peżetki były więc szkolone także z zasad jej działania, poznając podstawowe narzędzia, mechanizmy, ale i historię. Dowiadywały się, jak działała propaganda w Powstaniu Styczniowym czy podczas wojny polsko-bolszewickiej. Jakie narzędzia wykorzystywane są przez Niemców, Brytyjczyków i Rosjan. Wymiar wychowawczy, informacyjny był dla peżetek tak samo ważny, jak opieka nad żołnierzami.

Ile takich gospód udało się stworzyć w Warszawie?

Było ich ostatecznie ponad 30, chociaż początkowo planowano aż 50. Nie wszędzie się udało: nie powstały na przykład na Żoliborzu, gdzie do pierwszych potyczek doszło już o godzinie 14, a dzielnica została praktycznie odcięta od reszty miasta. Ani na Starym Mieście, gdzie miały miejsce najbardziej ciężkie walki. Wola czy Ochota upadły już 10 sierpnia, więc tu także nie mogło być mowy o rozwinięciu działalności PŻ na szeroką skalę. Najwięcej gospód funkcjonowało w Śródmieściu, na Powiślu, Czerniakowie, Mokotowie. Jedna czy dwie

powstały na Pradze, choć tu istniały oczywiście bardzo krótko - zaledwie 4 dni. Najczęściej punkty takie zlokalizowane były w restauracjach, kawiarniach, sklepach, ale też w kinach czy budynkach użyteczności publicznej. Jedną z najsłynniejszych znajdowała się w kinie Palladium przy ul. Złotej 7/9. Inna powstała w Porcie Główny na placu Napoleona 8, czyli tam, gdzie dziś jest plac Powstańców Warszawy. Kolejna działała w budynku PKO na rogu Świętokrzyskiej i Jasnej. Konieczność trzeba także wspomnieć o gospodzie garnizonowej przy ul. Kruczej, róg Wspólnej. Na Powiślu powstało co najmniej 4 takie placówki: przy ul. Smulikowskiego 6/8, w Konserwatorium Muzycznym, a także przy ul. Drewnianej i Cichej. Generalnie gospody PŻ można podzielić na trzy typy. Pierwsze to tzw. gospody modelowe, które działały dokładnie według planów okupacyjnych: łączyły funkcje stołówki z działalnością kulturalno-oświatową, informacyjną i propagandową. Tam odbywały się koncerty, odczyty, msze, można było poczytać prasę, wypożyczyć książkę. To też ciekawe, że peżetki bardzo dbały o książki i czytelnictwo. W jednej z relacji czytała, że powstańcy, chcąc wypożyczyć jakąś pozycję, musieli zostawiać fant, np. wieczne pióro. Chodziło o to, by po niego wrócili i oddali książkę. Tworząc ten system, nikt nie myślał o śmierci, bombardowaniach, pożarach czy konieczności natychmiastowej ewakuacji. Drugi rodzaj gospód to te, które początkowo prowadziły działalność kulturalno-oświatową, ale z czasem przekształcały się w kuchnie i stołówki, bo po prostu było to bardziej potrzebne. Tak było np. z gospodą przy ul. Mokotowskiej 39 czy przy Moniuszki 8. Trzeci to placówki, które istniały zaledwie kilka dni - takich było najwięcej.

Jak wyglądało zaopatrzenie? Co podawano w gospodach?
Z założenia gospody nie miały być typowymi stołówkami, tylko miejscami, gdzie żołnierze mogli coś przekąsić między posiłkami, na przykład drugie śniadanie czy podwieczorek. Ale rzeczywistość powstańcza wymusiła modernizację wielu planów. Peżetki posiadały własne magazyny z żywnością, korzystały także ze składów kwatermistrzostwa AK. Kobiety często same przenosiły produkty, idąc z plecakami np. z Powiśla - z ul. Smulikowskiego - do gmachu PKO przy Świętokrzyskiej i z powrotem. Niektóre gospody miały też swoje specjalności. Ta przy ul. Smulikowskiego słynęła ze swoistego *spécialité de la maison*, czyli tzw. słodkich kulek robionych z maki, tłuszczu, cukru, marmolady

i kakao. Serwowano też kanapki, chociaż zdobycie chleba było wyzwaniem. Na Powiślu chleb piekły urszulanki z ul. Dobrej. Ale, by go zdobyć, trzeba było przejść przez ostrzeliwaną przez Niemców ulicę. W gospodzie garnizonowej przy Kruczej peżetki miały zapasy maki, ale nie potrafiły obsługiwać pieców chlebowych. Okazało się jednak, że w okolicy mieszkali mężczyźni - piekarze, którzy umieli je obsługiwać. I tak wspólnymi siłami rozwiązano problem.

Jak długo działały gospody w czasie Powstania?
Bywało różnie. Niektóre punkty przetrwały do kapitulacji, czyli 63 dni. Były jednak i takie, które kończyły działalność znacznie wcześniej ze względu na czynniki losowe. Na przykład gospoda w Porcie Główny na placu Napoleona przestała istnieć 5 września, kiedy budynek został zbombardowany. Wiele placówek funkcjonowało zaledwie kilka dni, tak jak gospoda na Pradze przy ul. Szerokiej. Przestała istnieć 4 sierpnia, w momencie zakończenia walk w dzielnicy. Podobnie było z gospodami na Mokotowie, chociażby z tą przy ul. Fałata. Tamta część Mokotowa została bardzo szybko opanowana przez Niemców, którzy kazali wszystkim mieszkańcom opuścić dzielnicę.

1 sierpnia premierę będzie miała też pani kolejna książka, pt. „Młodzi’44. Powstanie Warszawskie emocjami opisane”. Jak doświadczenie peżetek, starszych od pokolenia Kolumbów, wpływało na młodych powstańców?
Myślę, że te kobiety były po prostu dla młodych żołnierzy ogromnym wsparciem. Bardzo często powstańcy przychodzili do nich z różnymi swoimi problemami, szukali u nich otuchy. Dużo mówią już same pseudonimy, takie jak „Mama”, „Ciocia”, „Babcia”. Faktycznie, peżetki stały się dla tych chłopców i dziewcząt kimś w rodzaju dobrej, troskliwej opiekunki. Kimś, do kogo można było zwrócić się z każdym kłopotem. Tak było na przykład z Haliną Bobowską, pseudonim „Babcia”. Mam do niej ogromny sentyment, bo poznałam jej rodzinę, która przekazała mi wiele ciekawych materiałów. Na dodatek po wojnie kobieta ta przyjechała na tzw. Ziemię Odzyskane, do Legnicy, z której pochodzę, więc jej historia stała się dla mnie szczególna. Dowiedziałam się, że „Babcia” przez lata uczyła w tamtejszym liceum pedagogicznym. To dość typowy zawód dla peżetki - wiele z nich było nauczycielkami, bibliotekarkami. Zajmowały się kulturą, oświatą. Krewna Haliny Bobowskiej

opowiadała mi, że jej ciocia była ciepłą, serdeczną osobą, do której wszyscy chętnie szli po radę. Warto dodać, że peżetki były uczzone, jak rozmawiać z ludźmi, szybko nawiązywać z nimi dobry kontakt. Czasem młody żołnierz przychodził do nich, bo miał problem z przyszcieniem guzików, innym razem potrzebował mydła, innym razem musiał podzielić się z kimś jakimś trudnym doświadczeniem. Część peżetek pracowała w pralniach, szwalniach; ktoś pomyślał, żeby zorganizować także takie punkty.

Pisze pani o emocjach młodych ludzi. Co panią najbardziej zaskoczyło, kiedy poznawała ich świadectwa?
Z jednej strony widoczny jest ogromny entuzjazm, który towarzyszył młodym w momencie rozpoczęcia walki. Pojawiała się radość, wiara w zwycięstwo. Ale z drugiej wiele osób mówi o potwornym strachu, który trzeba było każdego dnia pokonywać, by dostarczyć meldunek albo wybiec na odsłonięte pole po rannego. I jeszcze coś: specyficzne poczucie humoru. Młodzi powstańcy mieli swoje powiedzonka, potrafili się bawić, tańczyć, śmiać mimo dramatu dziejącego się dookoła. Powstańcy wspominali na przykład o tym, że kiedy znaleźli gramofon i płyty, to natychmiast spontanicznie urządzili potańcówkę. Nie wszystkim to się podobało. Oficerowie, a czasem i bardziej zasadnicze peżetki patrzyły krzywo na takie wybryki. Na tym polegał m.in. ówczesny konflikt pokoleń: młodzi chcieli cieszyć się życiem. Nie wiedzieli, czy doczekają jutra. A starsi pilnowali dyscypliny i mówili o powadze chwili czy braku szacunku dla ludzkiej śmierci.

Która z historii młodych najbardziej zapadła pani w pamięć?
To opowieść jednej z łączniczek. Podczas okupacji chodziła do konspiracyjnej szkoły tańca działającej przy Teatrze Wielkim. Marzyła, że zostanie primabaleriną. W czasie akcji została ciężko ranna. Amputowano jej obie ręce. Leżąc w szpitalu, nie płakała, nie chciała martwić pielęgniarek ani lekarza, którzy i tak mieli pełne ręce roboty. Ale leżąc unieruchomiona i całkowicie zależna od innych, zastanawiała się, jak będzie wyglądało jej życie - życie kobiety bez oburącz? Albo historia chłopaka, który marzył, że będzie sportowcem - piłkarzem, a w czasie Powstania stracił nogę. Takich opowieści jest niestety wiele.

Jest coś, co pani zdaniem łączy tamtych młodych z 1944 roku z dzisiejszym pokoleniem?
Zdecydowanie tak. Zresztą moja książka „Młodzi ’44” po-

wstała właśnie dzięki rozmowom z powstańcami i spotkaniom z młodzieżą ze szkół podstawowych i średnich. Szczególną rolę w pracy nad tematem odegrał pan Juliusz Kulesza, obrońca reduity PWPW, czyli Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Był jedną z tych osób, które bardzo mnie zachęcały, żebym pisała. Potrafił niezwykle barwnie, ciekawie i z humorem opowiadać o tamtych dniach. Miał wtedy 16 lat, a jego dwaj najbliżsi przyjaciele, Bogusław Kaufmann i Leszek Grodecki, po 18. I wszyscy trzej mieli niesamowite poczucie humoru i ogromnie ciekawe życiorysy. Pan Juliusz zawsze mi powtarzał: „Pani Agnieszko, ja to nie! Żałuję, że nie poznała pani moich przyjaciół. Oni to naprawdę wiele przeżyli, i jak potrafili o tym opowiadać!”. W książce pojawia się na przykład historia Bogusława Kaufmanna, pseudonim „Bogiel”. Po upadku Starego Miasta jako jeden z rannych żołnierzy leżał w okolicach kościoła św. Jacka. Podszedł do niego młody esesman - Ukrainiec mówiący po polsku. Postanowił mu pomóc. Aby „Bogiel” nie został rozstrzelany, po kolei kazał mu zdejmować wszystkie części niemieckiego umundurowania: czapkę, panterkę, buty, a potem spodnie. Opowiadając o tym, powstańcy spuwentowali: „Ogarnęło mnie przerażenie, bo obok leżały kobiety, a ja kalessony też miałem niemieckie!”. To są opowieści przekazywane z humorem i dystansem. Ale dla mnie zawsze najważniejszy był ich ludzki wymiar. Kiedy spotykam się z młodzieżą ze szkół podstawowych czy średnich, często widzę, że wchodzą na salę, spodziewając się następnej nudnej lekcji historii. Zawsze staram się im opowiadać o Powstaniu Warszawskim tak by poczuli, że tamci młodzi ludzie byli tacy jak oni. Chodzili do tej samej szkoły, a na wagar lub randki do tego samego parku, kibicowali tej samej drużynie. Tak samo przeżywali pierwsze miłości, pierwsze dramaty, pasjonowali się piłką nożną, jeździli na nartach, kochali książki podróżnicze albo lubili rysować. Jakiś czas temu, zbierając materiały do książki, pytałam powstańców o stroje, o to, co wówczas było modne, popularne. Niektórzy się oburzali: „Jak można zadać takie pytania?”. Ale czy modne nie jest ubranie, o którym marzą wszyscy żołnierze? A przecież prawie każdy z nich chciał mieć panterkę, kombinezon, apaszkę w grochy. Sami mówili: „To był szyk!”. Kiedy pokazuję młodym ludziom zdjęcia dotyczące życia codziennego albo historii sportu, widzę, że nagle zaczynają inaczej

patrzeć na powstańców. Dostrzegają to, co ich z nimi łączy.

Wydaje się, że o Powstaniu napisano już wszystko, a pani wciąż odkrywa nowe wątki. Czego sama Pani jeszcze o Powstaniu nie wie? Co chciałaby zrozumieć?
To wcale nie jest łatwe pytanie. Weźmy choćby same peżetki, którymi zajmuję się od 2003 roku. Z jednej strony można powiedzieć, że mamy ogromną wiedzę na temat Powstania, ale ja uważam, że ona jest często niestety bardzo „płytką”. Rozmawiałam na przykład z jednym z dziennikarzy o peżetkach pochodzących z Podkarpacia. O wielu z nich byłam w stanie tylko powiedzieć, gdzie i kiedy się urodziły, jak się nazywały, kiedy zmarły, w jakim były oddziale, w której gospodzie żołnierskiej pełniły służbę, że któraś z nich została ranna 5 września 1944 roku, gdy zbombardowano Poczcie Główną. Ale co dalej? Kim były? Co myślały? Jak potoczyło się ich życie? Jak poradziły sobie z powojenną traumą? Tego nie wiemy. Jednostkowy los wciąż jest słabo opisany. Myślę, że ma to związek z tym, że przez długi czas o Powstaniu pisali głównie mężczyźni, koncentrując się na wydarzeniach, a nie na ludziach, którzy w nich uczestniczyli.

To, co mnie uderzyło w pani książce o peżetkach, to poczucie, że robią coś ważnego, ale nieheroicznego. Czy to nie jest paradoks, że o tym najcichszym bohaterstwie tak trudno się pamiętać?
O tym się po prostu nie mówiło. O peżetkach praktycznie się nie wspominało. A przecież warto o nich opowiadać właśnie dlatego, że to było ciche, szare, codzienne bohaterstwo. Kobiety niechętnie opowiadały o swoich powstańczych losach. A jeśli już zdecydowały się coś powiedzieć, to często przejmowały narrację męską albo były ucinane przez kolegów. Sama wielokrotnie byłam świadkiem tego, jak kobieta zaczynała coś opowiadać, z emocjami, szczegółami, zwracając uwagę na kolory, dźwięki, zapachy, a mężczyźna stojący obok wtrącał: „Ale mów o tym, co ważne. Przejdź do konkretów”. I ona się wtedy wycofywała. Tak naprawdę nie mamy pełnych kobiecych opowieści, bo ich bohaterstwo nie było tak spektakularne, jak próba zdobycia czołgu.

Ma pani na koncie kilkanaście książek o Powstaniu Warszawskim. Tematy same do pani przychodzą? Wie pani, o czym będzie następna książka?
Tematy naprawdę same do mnie przychodzą! Wystarczy, że idę ulicą Warszawy i nieomal potykam się o kolejny temat powstańczy. Jest

jeszcze kilka historii, które chciałabym opowiedzieć, ale muszę przyznać, że jestem tym tematem już trochę zmęczona. Nie samym Powstaniem, ale bagażem psychicznym, który się z nim wiąże: ze zbrodnią, z traumą, z bardzo trudnymi emocjami. Na pewno chcę zostać wierną tematowi kobiecym. Kobiety wciąż są „niedopisane”. Widać to choćby po peżetkach czy po Polskim Białym Krzyżu - organizacji, która powstała w 1918 roku i w dwudziestoleciu międzywojennym walczyła z analfabetyzmem w wojsku. Niewiele o niej słyszało. Poza tym bardzo pociągają mnie tematy związane ze Słowianami. Fascynują mnie też historie morskie; marzy mi się napisanie nietypowego przewodnika po naszym wybrzeżu, w którym połączyłabym turystykę, historię i opowieści o ludziach. Ludzki wymiar zawsze jest dla mnie najważniejszy. Same trafiają też do mnie historie miłosne: piszą do mnie ludzie, opowiadają o swoich babciach i dziadkach. Po „Miłości ’44” czy „Miłości bez jutra” często dostaję wiadomości: „Pani Agnieszko, ja też mam niezwykłą historię rodzinną”. Zresztą, historia moich dziadków z jednej i drugiej strony też jest piękną opowieścią o wojennej miłości. Myślę, że przede mną jeszcze niejedna książka o miłości.

CV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Agnieszka Cubala
Pisarka, popularyzátorka historii specjalizująca się w tematyce Powstania Warszawskiego. Autorka kilunastu książek, w tym „Peżetki’44. Powstańcze historie kobiet ze służby Pomoc Żołnierzowi”. 1 sierpnia wyjdzie też książka „Młodzi’44. Powstanie Warszawskie emocjami opisane”.



TO NIE MARCHWICKI MORDOWAŁ KOBIETY W ZAGŁĘBIU?

Choć od tej historii minęło ponad pół wieku, coraz głośniej mówi się, że stracony został niewinny człowiek. Są kolejne wątpliwości i nowe dowody w głośnie sprawie „wampira z Zagłębia”

Grzegorz Olma

P o pół wieku od ogłoszenia pierwszego wyroku skazującego na karę śmierci Zdzisława Marchwickiego powraca sprawa „wampira z Zagłębia”. Dwie adwokatki z kancelarii prawnej z Torunia wraz autorem książki o sprawie, która rozbudzała emocje w latach 60. i 70. XX wieku, zapowiadają złożenie wniosku do Sądu Najwyższego o wznowienie postępowania sądowego. Twierdzą, że Marchwicki padł ofiarą zbrodni sądowej. Deklarują przy tym, że znają prawdziwą tożsamość wampira.

Wyrok w sprawie „wampira z Zagłębia” zapadł 50 lat temu

Dokładnie 50 lat temu, 28 lipca 1975 roku, sędzia sądu wojewódzkiego w Katowicach, Władysław Ochman, ogłosił wyrok w jednej z najgłośniejszych spraw kryminalnych PRL-u – sprawie „wampira z Zagłębia”. Sąd uznał Zdzisława Marchwickiego za winnego zamordowania 14 kobiet i usiłowania zabójstwa kolejnych 6. Wyrok wykonano przez powieszenie pod koniec kwietnia 1977 roku w garażu Aresztu Śledczego w Katowicach. Marchwickiego pochowano w nieoznaczonym grobie na cmentarzu w Katowicach-Panewnikach.

Zagłębie i Śląsk sparaliżowane strachem

To była jedna z najsłynniejszych, najgłośniejszych i do dziś budząca spory sprawę seryjnego mordercy w PRL. Przez sześć lat na Śląsku i Zagłębiu panowała psychoza strachu. Kobiety bały się wychodzić wieczorem z domu, mężczyźni drżeli o zdrowie i życie swoich żon i córek. Prasa donosiła o kolejnych zabójstwach, które miały miejsce w Zagłębiu i na Śląsku. Ich ofiarami padały przypadkowe kobiety. Jedną z nich była brata-

nica Edwarda Gierka, wówczas I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach, niedługo później najważniejszej osoby w państwie.

Ówczesna Milicja Obywatelska pod naciskiem władz wprost dwoiła się i troiła, by przerwać spiralę strachu, położyć i powstrzymać seryjnego zabójcę, który zyskał miano „wampira z Zagłębia”. Kilkuletnie śledztwo prowadzone było na niespotykaną dotąd skalę. Przez milicyjne kartoteki przewinęło się kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn. Poszukiwanie symbolicznej igły w stogu siana wydawało się czynnością beznadziejną. W ustronnych miejscach mordowano kolejne kobiety.

Na Marchwickiego doniosła żona

Trop Zdzisława Marchwickiego śledczym z Katowic podrzuciła jego własna żona. Na komisariacie milicji miała zeznać, że zabójcą kobiet jest jej mąż. Został zatrzymany w 1972 roku. Śledztwo trwało ponad 2 lata. Proces poszlakowy rozpoczął się 18 września 1974 r. w Klubie Fabrycznym Zakładów Cynkowych „Silesia” w Katowicach. Był pokazowy, z udziałem licznej publiczności; wejście na salę umożliwiała tylko specjalna wejściówka. Po niemal roku zakończył się wyrokiem skazującym.

Jednak już wówczas, 50 lat temu, jak przekonuje Przemysław Semczuk, autor książki „Wampir z Zagłębia”, który od kilkunastu lat drąży ten temat, nie brakowało osób, które nie wierzyły w sprawstwo i winę Marchwickiego. Wśród nich byli milicjanci i prawnicy. Wątpliwości te na przestrzeni ostatnich lat były wielokrotnie podnoszone. Dziś po raz kolejny.

Zdzisław Marchwicki dla jednych jest ofiarą dawnego systemu, który za wszelką cenę chciał mieć zabójcę i przykładnie



Zdzisław Marchwicki podczas procesu w Katowicach. Wyrok wykonano przez powieszenie w 1977 roku w garażu Aresztu Śledczego w Katowicach

ukarać go na oczach społeczeństwa. Dla drugich sprawca kilku zabójstw, któremu przypisano kolejne zbrodnie, których nie popełnił. Jest i trzecia grupa, która twierdzi, że Marchwicki był człowiekiem, który nie popełnił żadnego morderstwa, a sam stał się ofiarą zbrodni sądowej i tę sprawę sprzed pół wieku trzeba teraz wyjaśnić.

Nowe dowody w sprawie „wampira”

Adwokatki Klaudia Morzevska-Kowalczyk i Aneta Nowotarska wraz z Przemysławem Semczukiem od kilku lat wspólnie badają i pod kątem prawnym analizują sprawę Zdzisława Marchwickiego. Jak twierdzą, dysponują nowymi materiałami dowodowymi, które umożliwią złożenie wniosku do Sądu Najwyższego o wznowienie postępowania w jego sprawie.

– W ostatnim czasie zgłosiło się kilka osób, które posiadają dość istotne informacje i wska-

zały kilka tropów do poszukiwań dokumentów, które znajdują się w paru instytucjach państwowych. Teraz musimy dotrzeć do oryginałów tych dokumentów bądź ich uwierzytelnionych kopii, a relacje, które się pojawiły, trzeba spisać. Mogę potwierdzić, że są to osoby mieszkające dziś za granicą, ale były w istotny sposób powiązane ze sprawą i mają o niej wiedzę – mówi w rozmowie z DZ Przemysław Semczuk.

Jak wskazuje autor książki „Wampir z Zagłębia”, istotne dowody w sprawie zabójstw kobiet na Śląsku i w Zagłębiu mogą

znajdować się w utajnionych aktach przetrzymywanych w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Katowicach. Przez wiele lat policja nie przyznawała się do ich posiadania, nie wiadomo więc, co skrywają i dlaczego właśnie tam nadal się znajdują, choć powinny spoczywać w innych miejscach do tego przeznaczonych (archiwach państwowych).

Sprawa „wampira z Zagłębia” wraca po raz kolejny

Obecny powrót do sprawy „wampira z Zagłębia” jest kolejnym na przestrzeni kilkudziesię-

ciu lat. W 1997 roku reżyser Maciej Pieprzycy nakręcił swój głośny i nagradzany dokument „Jestem mordercą”. Tam po raz pierwszy po zmianie systemu politycznego padają pierwsze głosy o manipulacjach procesowych i podnoszone są wątpliwości co do winy Marchwickiego.

W tym czasie dzieci Marchwickiego i pełnomocnik rodziny pisali do rzecznika praw obywatelskich, apelując o rewizję procesu, bo „doszło najprawdopodobniej do tragicznej pomyłki sądowej”. Rzecznikiem był wtedy prof. Andrzej Zoll, karlista. W 2001 roku poprosił sąd o akta Marchwickich. Po ich analizie nie podjął żadnych kroków prawnych. Nie zakwestionował wyroku z 1975 roku.

Przemysław Semczuk komentuje to dziś tak:

Nie sądzę, by prof. Zoll osobiście czytał akta. Być może urzędnicy jego biura sprawdzili pod względem formalnym tryb postępowania. Gdyby przeczytali te akta, to by się złapali za głowę. Tam są kuriozalne zeznania, dziś nie do przyjęcia w procedurze sądowej.

O sprawę Marchwickiego pytano także w Sejmie RP. W 2004 roku poseł Michał Figlus dopytywał, czy jest możliwe wznowienie takiego postępowania. Odpowiedział mu zastępca prokuratora generalnego Ryszard Stefański:

Sprawa Zdzisława Marchwickiego i innych obejmuje bardzo obszerny i niejednorodny materiał dowodowy. Postępowanie w tej sprawie prowadzone było przez kilka lat. Akta składają się ze 169 tomów zawierających wielką ilość różnorodnych dowodów osobowych i rzeczowych. (...) Procedura karna określa szczegółowo reguły postępowania w takich sytuacjach, zmierzające do zapobieżenia wydaniu przez sąd orzeczenia nieopartego na miarodajnych podstawach dowodowych. Wydany w sprawie Zdzisława Marchwickiego i innych wyrok skazujący nie naruszał tych reguł, brak jest więc podstaw do wzruszenia tego prawomocnego wyroku w trybie nadzwyczajnym.

Znają tożsamość „wampira z Zagłębia”

– My wiemy, kim był wampir. Biegła wskazała go bez wahania. Znamy jego imię i nazwisko. Wiemy, kim był, gdzie mieszkał i co robił. Ale to nic nie zmienia. Poza opinią biegłej nie można tego już udowodnić, a ten człowiek od trzech lat nie żyje. W świetle prawa te zabójstwa już się przedawniły. Ustaliliśmy jednak, że nie ujawnimy jego tożsamości, bo żyją jego dzieci, rodzina. To nazwisko znajduje się w aktach sprawy Marchwickiego – mówi w rozmowie z DZ Przemysław Semczuk.

50 lat temu na pytanie sądu, czy jest mordercą, Zdzisław Marchwicki odpowiedział: No z tego, co słyszałem, co się dowiedziałem, no to chyba tak.

SEMCZUK: MY WIEMY, KIM BYŁ WAMPIR. BIEGŁA WSKAZAŁA GO BEZ WAHANIA. ZNAMY JEGO IMIĘ I NAZWISKO. WIEMY, KIM BYŁ, GDZIE MIESZKAŁ I CO ROBIŁ

Agaton Koziński

PAX GERIATRICA I EUROPEJSKA PUŁAPKA



Dlaczego Imperium Rzymskie upadło? Prosta odpowiedź na to klasyczne pytanie brzmi: bo nie było w stanie powstrzymać hord barbarzyńców. Ale ciekawszy jest głębszy proces do tego upadku prowadzący. W końcu Rzym przez stulecia radził sobie z potężniejszymi armiami niż te Wizygotów i Wandalów. Dlaczego w V wieku tę zdolność stracił? Wielu historyków wskazuje na potężny kryzys demograficzny, który dotknął imperium. „Rzeczpospolita rzymska stoi starymi obyczajami i mężami” – pisał poeta Ennius już w II wieku. Szacuje się, że w tamtym okresie w całym imperium żyło około 75 milionów osób. Dwa stulecia później już o ok. 15 mln mniej. Ten spadek liczby ludności sprawił, że średnia wieku mieszkańców imperium wzrosła. Stała się ona autentycznie „imperium starców”. Pojawienie się barbarzyńców nie było przyczyną jego upadku, a jedynie najbardziej widoczną konsekwencją tych zmian.

Historia zatacza koło. Dziś znów świat zachodni (czyli ten krąg cywilizacyjny, który odwołuje się do dziedzictwa Rzymu) wpadł w pułapkę kryzysu demograficznego. W Niemczech w 1950 r. przeciętny wiek mieszkańca kraju wynosił 33 lata. W 2000 – 39 lat. W 2050 roku wzrośnie do 49 lat. Dla Wielkiej Brytanii i Francji te dane są trochę niższe: w kolejnych latach to odpowiednio 33, 36 i 45,5 lat. Tylko trochę młodsze są Stany Zjednoczone. W 1950 r. przeciętny Polak miał 28 lat, w 2000 r. 37 lat, w 2050 r. zbliży się do pięćdziesiątki. Społeczeństwa Zachodu szybko się starzejają i nie za bardzo widać sposoby, by ten trend odwrócić.

Bardzo ciekawą tezę stawia prof. Mark Haas, politolog z Duquesne University w Pittsburghu. We właśnie opublikowanej książce „Geriatric Peace” zwrócił on uwagę, że to starzenie się okaże się zbawienne dla pokoju na świecie. Dlaczego? Bo starzeje się nie tylko Rzym, ale również barbarzyńcy. Haas podkreśla, że takie zdarzenie ma miejsce po raz pierwszy w historii. Wcześniej kryzysy demograficzne dopadały poszczególne miejsca świata, dziś natomiast to zjawisko globalne. Coraz starsze są nie tylko Europa i USA, ale także Rosja i Chiny. W 2050 r. wiek przeciętnego Japończyka i Chińczyka będzie wynosił ponad 50 lat. Amerykanie (średnia 43 lata) będą wyglądać przy nich jak dzieciaki. Ale nie oszukujmy się: młodzi też nie będą. I to jest właśnie fundament tezy Haasa. Według niego wejdziemy w fazę Pax Geriatrica. Wszyscy będą tak starzy, że nikt nie będzie w stanie zaatakować drugiego. Efekt uboczny trendu wywołanego globalnym starzeniem się: globalny pokój.

Ale wszyscy, którzy zamierzają pod wpływem tej tezy proponować cięcia wydatków na obronność, powinni jeszcze wstrzymać konie. Bo w tym globalnym geriatrycznym trendzie jest jedna luka. Tak się składa, że bardzo blisko Europy. Jedyne obszary świata, które nie wpadły w pułapkę demograficzną, to Afryka i Bliski Wschód. Wszędzie indziej średnia wieku ciągle idzie w górę, tylko w bezpośrednim sąsiedztwie naszego kontynentu nie. Bogaci Europejczycy są coraz starsi w przeciwieństwie do biednych krajów basenu Morza Śródziemnego. U nich utrzymuje się demograficzny konstans. Tam zawsze było dużo dzieci i dalej ich nie brakuje.

Łatwo się domyśleć, jakie będą tego konsekwencje. Już teraz napięcia migracyjne są tak silne, że każdy błąd w tym obszarze może skutkować upadkiem rządu – w Polsce, ale też właściwie w każdym kraju UE. W kolejnych dekadach będzie coraz gorzej pod tym względem. Nie wyklucza to tezy o Pax Geriatrica, choć powstała ona z myślą przede wszystkim o USA. Europa też może skorzystać z tej nieoczekiwanej dywidendy pokojowej. Ale tylko pod jednym warunkiem: skutecznie zablokuje ryzyko niekontrolowanego napływu migrantów. Na razie jest do tego bardzo daleko.

Adam Bula

NAJGŁUPSI SZWAJCARZY EUROPY



Niesamowity jest wciąż na nowo potwierdzany schemat, że Polacy – jeden z najbardziej zaradnych i pracowitych narodów świata – największą estymą obdarzają najbardziej pompatycznych głupców, powierzając im najważniejsze funkcje w państwie.

Najwyraźniej 35 lat demokracji nie wygasło w nas, budowanej przez dekady PRL, a wcześniej stulecia niewoli, nieufności do „władzy”. Państwo traktujemy jako ciało obce i opresyjne, z którym – żeby odnieść sukces – trzeba się skutecznie kiwać. Co tłumaczy, dlaczego wysyłamy tam – na wybiegalne fuchy – najgłupszych z nas. I tak stajemy się – na dłuższą metę – ofiarami własnego sprytu.

Zwrot o „pompatycznych głupcach” przypominał niedawno Albert Świdziński z thin thanks Strategy & Future. Pan Albert raczej się nie szczypie, więc powiedział o ogłoszonej przez prezesa Kaczyńskiego deklaracji, wystawionej do podpisania dla wszystkich patriotów, tak: „Tytuł tej deklaracji, »Deklaracja Polska«, jest pompatycznie debilny, jest napisany przez pompatycznego debila dla pompatycznych debili”.

Świdziński skomentował dokładniej tylko punkt 3 dokumentu, że polską racją stanu jest wasalny i beزالternatywny związek z USA. Uwagę innych przyciągnął punkt 10, w którym ukradziono hasło lewicy: „Mieszkanie prawem, nie towarem”. Ale ogólnie dokument nie wzbudził większego poruszenia, najprawdopodobniej z litości.

Cała ta deklaracja PiS-u miała w zamyśle zagać Konfederację do przyszłej koalicji z PiS, ale Sławomir Mentzen szybko się odwinął, dając swojej czarnej polewce tytuł: „Kaczyński to polityczny gangster”. Więc się chłopcy jeszcze ze sobą sporo natłukają, zanim się ożenią.

Mnie spodobał się z kolei wstęp, w którym dokonano personalizacji najżywoźniejszych interesów Polski. Napisał: „Nie dla koalicji z Tuskiem i jego ludźmi”. Rozumiecie – nie z Koalicją Obywatelską, nie z siłami politycznymi mającymi inny pogląd na nasze sprawy i ich prowadzenie. Chodzi tylko o arcydiabła Tuska. I tak ze strefy rzeczywistości płynnie jesteśmy spychani do sfery mitologii. A w realu, żeby wyjaśnić tytuł, według szacun-

ków MFW Polska gospodarka w 2025 r. ma wyprzedzić pod względem nominalnego PKB Szwajcarię i awansować z 21. na 20. miejsce na świecie. W tych prognozach PKB Polski otrze się o granicę BILIONA DOLARÓW (0,98 bln USD), a Szwajcarii wyniesie ok. 0,95 bln.

Co oczywiście nie znaczy, że jesteśmy bogaci jak Szwajcarzy. To tylko potwierdzenie tezy ze wstępu: fenomenalnie wykorzystujemy szansę, jaką dał nam upadek PRL i wejście do UE. Do dyskusji pozostaje jedynie fakt, czy dzieje się tak dlatego, czy mimo tego, że do władzy konsekwentnie delegujemy najgłupszych z nas.

A bo wiecie, że nowy prezydent „uważa premiera Tuska za najgorszego premiera od 1989 r.”. Premiera tego rządu, który właśnie przegania Szwajcarię. Ciekawostką jest fakt, że Karol Nawrocki powiedział to, wychodząc ze spotkania z marszałkiem Szymonem Hołownią. Który robi ostatnio za największego przegrywa polskiej polityki, co sami zauważamy w sondażach. Odwrotnie proporcjonalnie do tego, co uważają politycy prawicy, którzy u Hołowni dostrzegają coraz więcej mądrości.

Nowy prezydent zapowiedział także szybkie zgłaszanie ustaw będących realizacją jego obietnic wyborczych. I tu się zrobi spory ambaras, bo kandydat Nawrocki obiecywał rzeczy, które od prezydenta nie zależą.

OK, prezydent może przekonywać Sejm i rząd – nawet jeśli „jest najgorszy premier” – żeby jego pomysł przyjęto. Tyle teoria. W praktyce rzecznik prezydenta elekta Rafał Leśkiewicz ujawnił już, że pierwszym projektem Nawrockiego będzie „powrót do wielkiego CPK”. No i znów strach włączać myślenie. Bo jest tak: PiS miał plan wielkiego CPK, koła zamachowego wielkiej Polski. Potem przegrał wybory, a nowy rząd koalicji 15 X realizuje – pominiemy tu, jak szybko i czy sensownie – okrojony/urealniony (wybierz sobie wersję) projekt CPK.

Teraz Nawrocki zacznie od ustawy o powrocie do pisowskiego CPK. Dwa lata przed tym, zanim PiS ma szansę wrócić do władzy, i prawie dwa lata po tym, jak K15X z wielkiego CPK robi mniejszy Centralny Porcik Komunikacyjny.

No to po co właściwie ta pierwsza ustawa nowego prezydenta? Po co się bije pianę?

Więc jak spotkacie na wakacjach jakiegoś Szwajcara i zechcecie mu wyjaśnić, dlaczego ich właśnie przeganiamy, to macie tu gotową odpowiedź: bo wybieramy najgłupszych z nas. Może nie jest to najefektywniejszy model rozwojowy, ale skoro działa, to po co go psuć?

MISTRZOWIE SMAKU 2025 LIDERZY I UCZESTNICY AKCJI SPECJALNEJ

Trwa etap powiatowy głosowania w branży gastro

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Po raz kolejny głosami klientów przyznajemy nagrody w plebiscycie Mistrzowie Smaku. Obecnie jesteśmy na etapie powiatowym akcji, który potrwa do 13 sierpnia.

W plebiscycie Mistrzowie Smaku osobno w każdym mieście i powiecie zostaną przyznane indywidualne tytuły Kucharz Roku i Kelner Roku oraz nagrody dla lokali w kategoriach Restauracja Roku, Bar/Bistro/Jadłodajnia Roku oraz Kawiarnia/Cukiernia Roku. Laureaci z miast i powiatów, poza zdobyciem tytułu, awansują do woj-

wódzkiego finału, w którym będą na nich czekać nagrody, a na zwycięzców awans do ogólnopolskiego finału plebiscytu. W skali województwa zostaną przyznane nagrody w indywidualnych kategoriach Barman Roku, Barista Roku i Mistrz Słodkości Roku oraz nagrody dla lokali gastronomicznych - Lody Roku, Pizza Roku i Burger Roku. Wojewódzki wymiar będzie miała także specjalna nagroda Menedżer Gastronomii Roku, w której docenione zostaną osoby stojące za biznesowym sukcesem lokali gastronomicznych. Podczas trwania głosowania na bieżąco prezentujemy liderów rankingów i uczestników akcji - zarówno w interne-

cie, jak i na łamach naszej gazety. Dziś możecie poznać bliżej kolejnych z nich. A po zakończeniu plebiscytu przygotowujemy specjalny dodatek, który trafi do całego nakładu naszej gazety. Znajdą się w nim sylwetki laureatów i opisy miejsc, które podbiły Wasze podniebienia. To świetna forma promocji, która może przyciągnąć wielu nowych gości, a także okazja, by poznać bliżej tych, którzy swoje życie zawodowe związali właśnie z branżą gastronomiczną - gastro, jak ją sami nazywają. Na laureatów Mistrzów Smaków 2025 czekają nagrody, a wśród nich między innymi zaproszenie do udziału w profesjonalnym szkoleniu online po-

święconym promocji usług gastronomicznych w internecie, a w szczególności w mediach społecznościowych. To wartościowe szkolenie przygotowują i poprowadzą eksperci od mediów społecznościowych, którzy zajmują się nimi na co dzień. Będzie można dowiedzieć się m.in., jak zrozumieć mechanizmy wpływające na widoczność postów w mediach społecznościowych: co robić, a czego unikać, aby maksymalizować zasięg i zaangażowanie w publikowane treści; jak tworzyć rolki, aby stały się wiralem. Podczas spotkania będzie możliwość zadawania pytań, a każdy uczestnik otrzyma certyfikat potwierdzający udział w szkoleniu!



Marcin Smagorzewski, Mozzarella, Gdańsk

Kategoria: Kucharz Roku

Jak się zaczęła Pana przygoda z gotowaniem? Gotowanie towarzyszyło mi od najmłodszych lat - najpierw jako zabawa, później jako sposób na wyrażenie siebie. Inspirowały mnie zapachy z dzieciństwa: domowy rosół gotowany przez babcię, świeży chleb wyjmowany z pieca, pierwsze samodzielnie usmażone naleśniki. Z czasem zrozumiałem, że kuchnia to nie tylko zawód - to sposób na opowiadanie historii, budowanie relacji i dawanie ludziom radości. Pasja przerodziła się w świadomą decyzję o tym, by gotowanie stało się moją drogą życiową. To wybór serca - i nigdy nie żałowałem tej decyzji

Czy ma Pan jakieś popisowe danie?

Moją wizytówką jest sandacz w sosie koperkowo-ogórkowym, podawany z opiekanymi ziemniaczkami i grillowanymi warzywami. To danie, które odzwierciedla moją kuchnię: prostą, ale pełną smaku, opartą na świeżych, lokalnych produktach. Jako osoba pochodząca znad morza, mam ogromny szacunek do ryb i ich jakości - wiem, jak delikatne potrafią być, ale i jak wiele można z nich wydobyć. Oprócz dań rybnych tworzę też różnorodne makarony - od klasycznych po bardziej autorskie, często inspirowane sezonem lub produktami regionalnymi. To właśnie ten balans między tradycją a kreatywnością najlepiej oddaje mój styl kulinarny.



Sylwia Lyles, Restauracja Pueblo, Gdynia

Kategoria: Kelner Roku

Co zadecydowało o wyborze pracy kelnera? Moja przygoda z pracą kelnera zaczęła się trochę przypadkowo - szukałem pracy dorywczej na wakacje i trafiłem do restauracji, gdzie od razu poczułem, że to coś dla mnie. Szybko okazało się, że lubię kontakt z ludźmi, dynamiczne tempo pracy i satysfakcję z dobrze obsłużonego stolika. Z czasem zaczęło mnie to interesować na poważnie i dzisiaj traktuję tę pracę jako ważny etap mojego rozwoju zawodowego.

Jakie umiejętności uważa Pani za kluczowe w tej pracy?

Kluczowe umiejętności w pracy kelnera to przede wszystkim komunikatywność i uprzejmość - goście muszą czuć się mile widziani. Bardzo ważna jest też dobra organizacja pracy i odporność na stres, zwłaszcza w godzinach szczytu. Do tego dochodzi umiejętność pracy zespołowej, spostrzegawczość i znajomość menu.

Z czego czerpie Pani najwięcej radości?

Szczery uśmiech i miłe słowo od gościa, który czuje się dobrze obsłużony i po prostu zadowolony z wizyty. Ale największą radość sprawiają mi stali klienci - tacy, którzy wracają, rozpoznają mnie, zagadują, a nawet polecają miejsce znajomym. To wtedy wiem, że moja praca naprawdę ma znaczenie i zostawia po sobie pozytywne wrażenie.



Julia Feoktistova, Chinkalnia, Gdynia

Kategoria: Menedżer Gastronomii Roku

Co sprawiło, że zdecydowała się Pani na związane z gastronomią?

Nie od razu wiedziałam, że gastronomia to moja droga, ale bardzo szybko poczułam, że to środowisko, w którym mogę oddychać pełną piersią. Zaczęło się od potrzeby działania, tworzenia, bycia blisko ludzi i szybkiego reagowania - a gastronomia łączy to wszystko w jednym. Każdy dzień to nowe wyzwania, emocje, praca zespołowa i miejsce na rozwój. W tym zawodzie nie da się udawać - trzeba być sobą, czuć i działać. I to właśnie mnie wciągnęło. Dziś wiem, że to była dobra decyzja - i choć bywa trudno, nie wyobrażam sobie innej drogi zawodowej.

Co daje Pani największą satysfakcję w pracy?

Największą satysfakcję dają mi momenty, w których widzę, że wszystko „zagrało” - goście wychodzą z uśmiechem, zespół jest zgrany, a atmosfera w lokalu jest prawdziwie dobra. Kiedy ktoś wraca i mówi: „U was czuję się jak w domu” - to wiem, że to, co robimy, ma sens. Lubię też te drobne chwile między zespołem - kiedy wspieramy się nawzajem, śmiejemy się po trudnym serwisie albo po prostu wiemy, że możemy na sobie polegać. Gastronomia to emocje - i właśnie te dobre emocje są dla mnie największą nagrodą.



MISTRZOWIE
SMAKU
2025

LIDERZY POSZCZEGÓLNYCH
KATEGORII PLEBISCYTU

Więcej na dziennikbaltycki.pl/mistrzowie-smaku

KUCHARZ ROKU
1. Maciek Glatki , Cho Na Molo, Puck
2. Katarzyna Grzędzicka , Mondo Pizza & Bar, Kartuzy
3. Szymon Kokot , Hotel i Restauracja Strzelnica, Starogard Gdański
KELNER ROKU
1. Łukasz Walkiewicz , U Rybaka, Jastrzębia Góra
2. Krzysztof Topolski , Browar Miejski Pompa, Rumia
3. Karolina Zacierka , Restauracja Staromiejska, Kwidzyn
BARMAN ROKU
1. Wojciech Astachow , SPATIF, Sopot
2. Kajetan Dembek , Bartenders for You, Gdańsk
3. Mateusz Pasternak Pasta , Bujaj Się, Łębork
BARISTA ROKU
1. Krystian Kuleta , C Corner Cafe, Gdynia
2. Kacper Krawczyk , Starbucks Galeria Bałtycka, Gdańsk
3. Mateusz Tabor , Costa Coffee Galeria Forum, Gdańsk
MISTRZ SŁODKOŚCI ROKU
1. Zuzanna Kwieciń , Churrascaria Pousada Kumaki, Bąkowo
2. Lucyna Mańska , Smakomania Lucyna Mańska, Pomysk Mały
3. Dorota Grenda , Poczta BEZowa, Rakowiec
MENEDŻER GASTRONOMII ROKU
1. Julia Feoktistova , Chinkalnia, Gdynia
2. Karol Oleksy , Pałac Łebunia, Łebunia
3. Joanna Czucha , Hotel&SPA Bazuny, Kościerzyna
RESTAURACJA ROKU
1. Restauracja Hotel Maxim , Kwidzyn, Słowiariska 10
2. Cho Na Molo , Puck, Molo Żeglarszy
3. Karczma Krynicka , Krynica Morska, Portowa 3
BAR/BISTRO/JADŁODAJNIA ROKU
1. Bar Mleczny Zakątek , Kwidzyn, Mieszka i 10
2. Tawerna Kolumb , Puck, Morskiego Dywizjonu Lotniczego 20
3. Zawijane Bistro , Pruszcz Gdański, Jana z Kolna 1
3. Bistro Nad Stawem , Łębork, Bohaterów Monte Cassino
KAWIARNIA ROKU
1. Ancymon Cafe , Gdańsk, Szymanowskiego 18/5
2. Bunia cafe , Gdynia, Parkowa 1
2. Filizanka , Gdynia, Wójta Radtkego 43/2
PIZZA ROKU
1. Pizzernia Focaccia , Kwidzyn, Chopina 7A
2. Pizza i Spółka , Reda, Łąkowa 54
3. Pizza nad Zalewem , Kąty Rybackie, Rybacka 185
LODY ROKU
1. Kolorowe Muu , Kwidzyn, Hallera 1
2. LodoveLove - z miłości do lodów, Gdańsk, Małomiejska 43
3. Vafel Lodziarnia-Człuchów , Człuchów
BURGER ROKU
1. Big Daddy Burger , Gniew, Kopernika 5
2. Smash Smaż , Gdynia, Stolarska 17
3. Burgermania , Gdańsk, Krzywoustego 25

SŁOWNIK: ADALINA, AKAMAS, AKITA, BASKAK, ELAM, NATAL, PALAWAN, PARATAKSA.

ROZWIĄZANIE: KLAMSTWO NIGDY NIE JEST NAGIE.

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 30 lipca 2025 r.
w wieku 91 lat zmarła

Ś + P

Marianna Angowska

Msza św. żałobna odprawiona zostanie zostanie
02 sierpnia 2025 r. o godz. 10.00
w kościele pw. bł. Edmunda Bojanowskiego
i św. Antoniego Paderewskiego w Rumi.
Przed mszą o godz. 9.30 zostanie odmówiony Różaniec.
Wyprowadzenie do grobu nastąpi o godz. 11.00
na cmentarz komunalny w Rumi przy ulicy Górniczej.

Pograżona w smutku Rodzina

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy,
że w dn. 25.07.2025 r. zmarł nasz emerytowany pracownik,
Kierownik Pracowni Mostowej

śtp

mgr inż.

Andrzej Topolewicz

Msza Św. Żałobna zostanie odprawiona
4 sierpnia 2025 o godz. 11:30 w kościele
pw. Św. Michała Archanioła przy ul. 3 Maja 49 w Sopocie.
Ceremonia pogrzebowa odbędzie się o godz. 12:30
na Cmentarzu Katolickim
w Sopocie przy ul. Malczewskiego 18.

Pan Andrzej przepracował w naszym biurze 53 lata.

Rodzinie

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Zarząd, Rada Nadzorcza, koleżanki i koledzy
z Transprojektu Gdańskiego

Poobijane Wybrzeże Gdańsk chce wygrać hit ze Startem

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

Ekscytująco będzie w niedzielę na stadionie im. Zbigniewa Podleckiego w Gdańsku. Od godz. 15 na rywalizować będą żuźlowcy Wybrzeża Gdańsk i Ultrapuru Startu Gniezno.

Spotkanie w ramach 13. rundy Krajowej Ligi Żuźlowej uchodzi za generalny sprawdzian przed rundą, a to dwóch głównych kandydatów do awansu.

Wszyscy zaangażowani w organizację meczu Wybrzeża Gdańsk ze Startem Gniezno, czyli pierwszej z drugą drużyną Krajowej Ligi Żuźlowej, spoglądają w niebo i... w telefony. Na niebie szukają ewentualnych ciemnych chmur, a w telefonie korzystnych prognoz meteorologicznych. Lipiec 2025 roku dał się we znaki w całej Polsce z powodu intensywnych opadów deszczu. A deszcz i żuźel nigdy nie idą w parze.

- Na razie wszystko idzie zgodnie z planem, jeśli chodzi o przygotowania. Są na mapie prognozowane opady, ale nie aż tak tragiczne, aby mecz odwoływać. Przygotowujemy się, żeby wygrać z pogodą. Wiadomo, jeśli przyjdzie ulewa powyżej 3 mm, to będzie problem. Myślę, że nasz jest tor przygotowany na dużą ilość wody - wyjaśnia nam Lech Kędziora, trener gdańskich jeźdźców.



FOT. WIESŁAW SZMAGAJ

Żuźlowcy Wybrzeża Gdańsk w 10 dotychczasowych spotkaniach zebrali 22 punkty

W parze zamierzają za to jeździć żuźlowcy Wybrzeża. Gdańszczanie nie mogą cieszyć się na nadchodzącą rywalizację ze względu na problemy z uporczywymi kontuzjami.

- Borykamy się z tym przez cały sezon. Inne zespoły też mają problemy. Kontuzje były, są i będą. Jesteśmy przygotowani na to, aby na wypadek poważnych kontuzji mieć zawodników, którzy ich godnie zastąpią. Na dzisiaj czekamy na sygnał Benjmina Basso, który poobijał się w upadku w meczu U-24. Czekamy na jego opinię i diagnozę lekarza. Musimy sobie dać radę, bo pozostali zawodnicy mogą wziąć ciężar walki na siebie. Zdrowotne pro-

blemy ma Kacper Grzelak, a uraz żeber Niels-Kristian Iversen - nie ukrywa Kędziora.

Wszyscy trzej żuźlowcy znaleźli się w awizowanym składzie na szlagierowe spotkanie ze Startem. Gdańszczanie mają do wyrównania rachunki z tym zespołem. To jedyna ekipa w Krajowej Lidze Żuźlowej, z którą do tej pory przegrali. Na wyjeździe 20 kwietnia było 43:47, więc sprawa punktu bonusowego wciąż jest otwarta.

- Nasz zespół jest przygotowany. Nie przemawia przeze mnie pycha. To jest speedway. Jakbyśmy mieli różdżkę Merlina, to byłoby fajnie. Jest jeszcze siedmiu zawodników i oni muszą wziąć ciężar na swoje

barki. A są w stanie to zrobić. Chcemy z happy endem zakończyć tym meczem zasadniczą rundę. A na play-offy będziemy już w stu procentach gotowi - w swoim stylu wyjaśnia trener Lech Kędziora.

Awizowane składy na mecz Wybrzeże - Start

Ultrapur Start Gniezno: 1. Bastian Pedersen, 2. Adam Ellis, 3. Adrian Gała, 4. Kevin Fajfer, 5. Sam Masters, 7. Robert Roszak

Wybrzeże Gdańsk: 9. Kacper Grzelak, 10. Tim Sørensen, 11. Krystian Pieszczyk, 12. Benjamin Basso, 13. Niels Kristian Iversen, 14. Miłosz Wysocki, 15. Eryk Kamiński

©P

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połężę 3, tel. 58/3003 211

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku
w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń,
Gdańsk, Połężę 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - **PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76**
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - **ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31**
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni**
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

ODKUPIĘ nieruchomość za gotówkę.
518-503-404

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

INNE

SPRZEDAM dwie połączone działki
w ROD "Owczarnia" z domkiem,
668-106-024

GARAŻE

KUPIĘ Garaż - Płacę gotówką - Tel:
535-340-504.

Praca

ZATRUDNIĘ

DO obwarzanków. Tel. 507115660

W gospodarstwie mlecznym,
z doświadczeniem - zamieszkanie, 517-433-784

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone
kupię zaniedbane powypadkowe.
Najlepiej płacimy, całe pomorskie
514-514-610

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

AWARIE - dachy, blachy, kominy, papy,
rynny, malowanie; 517-744-487

MALOWANIE dachów. 788-016-988.

Sufity Podwieszane: Napinane,
Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe,
Ścianki Gipsowe "Sufitex"
604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

INNE

ZOSTAŁEŚ OSZUKANY? Zadzwoń:
537 557 557

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy turnusy 60+ lipiec od
1050 zł dostępny masaż leczniczy
/ dowóz, tel.: 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

MORZA

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

USTRONIE MORSKIE - pokoje
z łazienkami, VIII - IX. **PROMOCJA.**
Blisko morza. Tel.: 503-936-581.

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyt z wyżywieniem od 160zł doba,
601-585-510 www.danaustronie.pl

BIURA PODRÓŻY

BIURO PODRÓŻY MADE IN POLAND

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlery)
odchowane, 10- 20 tyg, kaczki
i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram
zapisy. Tel. 728-104-188.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Skoczkowie walczą o medale mistrzostw Polski na igelicie

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. Najlepsi polscy skoczkowie wracają do rywalizacji. W Wiśle-Malince trwają mistrzostwa Polski w skokach narciarskich na igelicie.

Po raz pierwszy w programie letnich MP znalazł się konkurs duetów „Super Team”.

- Duety są w programie igrzysk olimpijskich na 2026 rok, dlatego my też idziemy do przodu. Mielismy zainteresowanie ze strony klubów, które myślały o tym formacie. Uważamy, że to dobry pomysł - mówi prezes Polskiego Związku Narciarskiego Adam Małysz.

- Świetnie, że taki konkurs zrobimy w Polsce. Będzie więcej drużyn i większa rywalizacja. Dodatkowo cieszy mnie to, że dzięki temu wystartują zawodnicy tacy jak Kacper Juroszek, którzy nie mogliby wystąpić w tradycyjnym konkursie drużynowym, ponieważ nie byłoby jak wystawić drużyny. Ale dzięki temu pojawi się w duetach - do-



FOT. WOJCIECH MATYSIK

W mistrzostwach Polski wystąpią najlepsi polscy skoczkowie, m.in. nasz wielki mistrz Kamil Stoch

daje Maciej Maciusiak, trener kadry A w skokach narciarskich.

W piątek do walki o medale w konkursach indywidualnych przystąpią kobiety i mężczyźni. Pierwsze serie konkursowe zaplanowano odpowiednio na godz. 17.30 i 17.45. Jak się dowiedzieliśmy w PZN, w rywalizacji mają wziąć udział wszyscy najlepsi polscy skoczkowie, z reprezentantami kraju, którzy są członkami kadry A, na czele. A zatem: Paweł Wąsek, Aleksander Zniszczoł, Dawid Kubacki,

Piotr Żyła, Kamil Stoch i Kacper Juroszek!

- U zawodników widać dużą motywację i chęć do ciężkiej pracy. Zdajemy sobie sprawę, że ważny jest to sezon. Do wszystkich treningów podchodzimy z pełnym zaangażowaniem, tak samo będzie przed i w trakcie każdego konkursu, zarówno w lecie, jak i w zimie. Chcemy realizować nasze cele krok po kroku - mówi nam Wojciech Jurowicz, kierownik kadry A polskich skoczków.

Przed rokiem MP na igelicie wygrał niespodziewanie Klemens Joniak, a na Średniej Krokwi (K-95) w Zakopanem wystartowało 88 zawodników, w tym gościnnie reprezentanci Austrii, Słowacji i Ukrainy. Wśród pań najlepsza była Anna Twardosz.

Mistrzostwa Polski są też generalnym sprawdzianem dla organizatorów Letniej Grand Prix, która na obiekcie im. Adama Małysza odbędzie się w dniach 16 i 17 sierpnia. Cały cykl jest niezwykle ważny dla reprezentantów Polski. Punkty uzyskane w LGP będą się bowiem liczyć także do uzyskania kwalifikacji olimpijskiej na igrzyska w lutym przyszłego roku we Włoszech. Na ten moment Polska ma zagwarantowane trzy miejsca.

- Zdaję sobie sprawę, że oczekiwania są spore, ale zamierzam im sprostać. Czekać mnie trudne decyzje, zwłaszcza w sezonie zimowym, gdy będę musiał ogłaszać nominacje na zawody Pucharu Świata czy skład kadry na igrzyska olimpijskie - powiedział nam w rozmowie trener Maciusiak, trener kadry A. ©P

Cenne zwycięstwo Kolejorza w rewanżu. Wynik lepszy od gry

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Lech Poznań wygrał w rewanżu z Breidablikiem (1:0) na Islandii i awansował do 3. rundy eliminacji Ligi Mistrzów. Piłkarze Kolejorza myślami byli już przy kolejnej rundzie.

Lech Poznań nie zostawił Breidablikowi żadnych złudzeń w dwumeczu - u siebie rozbił Islandczyków aż 7:1, m.in. dzięki hat-trickowi Mikaela Ishaka z rzutów karnych. Rewanż nie był już tak efektowny (1:0 po golem z gry Ishaka z 29. minuty), ale przy wysokiej zaliczce z pierwszego meczu trudno się dziwić oszczędzaniu sił.

Trener Niels Frederiksen dał szansę kilku młodszym graczom - w wyjściowym składzie znalazł się m.in. 18-letni Wojciech Mońka, który był jednym z najlepszych na boisku.

- Najważniejsze, że wygraliśmy to spotkanie, a reszta nie jest istotna. Wprowadziliśmy wielu nowych zawodników,

niektórzy zagraли na innych pozycjach, to więc normalne, że ta nasza gra nie była cały czas na wysokim poziomie - wytłumaczył duński szkoleniowiec Lecha Poznań.

Kto rozczarował? Kolejny wyjątkowo bezbarwny mecz zaliczył przede wszystkim Norweg Bryan Fjellbema. Atakujący z przeszłością w akademii londyńskiej Chelsea FC znów znalazł się na ustach ekspertów oraz internautów. Problem w tym, że po raz kolejny w negatywnym ujęciu.

- Szkoda prądu na dyskusję o Fjellbemie. Kiedy miał strzelić jak nie dzisiaj? Gość „tego” nie ma. Jego potencjał to nie jest potencjał na Lecha. Mam wrażenie, że nawet jak występował w rezerwach, to niektórzy nie za bardzo chcieli podawać do niego piłkę. Jest jednak trener Frederiksen, który chce udowodnić wszystkim, że jest inaczej - skwitował ekspert Meczyków, Dawid Dobrasz.

W kolejnej rundzie rywalem Kolejorza będzie znacznie bardziej wymagająca Crvena Zvezda Belgrad. ©P

REKLAMA

0011371023

82. Tour de Pologne: emocje, góry i kolarska elita na polskich trasach

82. Tour de Pologne
04-10.08.2025 UCI WORLD TOUR

Już 4 sierpnia rozpocznie się 82. edycja Tour de Pologne UCI World Tour – najbardziej prestiżowego wyścigu kolarskiego w Europie Środkowo-Wschodniej. Tegoroczna odsłona potrwa do 10 sierpnia, a zawodnicy pokonają siedem etapów prowadzących przez najpiękniejsze i najbardziej wymagające tereny Polski. Kolarze wystartują z Wrocławia, a wszystko zakończy się emocjonującą jazdą indywidualną na czas przy Kopalni Soli „Wieliczka”.

Spektakularna trasa, światowa obsada

Na 82. edycję Tour de Pologne Lang Team po raz kolej-

ny przygotował trasę, która sprawdzi nie tylko siłę, ale i taktyczne umiejętności kolarzy. W wyścigu wezmą udział największe gwiazdy światowego pelotonu z ekip takich jak UAE Team Emirates, Visma | Lease a Bike, Soudal–Quick Step, Red Bull–BORA–hansgrohe, Lidl–Trek czy Decathlon AG2R La Mondiale. Szansę na rywalizację z najlepszymi dostaną również reprezentanci Polski.

Siedem dni, siedem emocjonujących etapów

Wyścig rozpocznie się 4 sierpnia płaskim etapem z Wrocławia do Legnicy – idealnym dla sprinterów. Następnie kolarze przeniosą

się w góry – etap do Karpacza zakończy się legendarnym podjazdem na Orlinek, gdzie zwyciężali już Alberto Contador czy Thibau Nys. Trzeci etap w Wałbrzychu to prawdziwe górskie wyzwanie – podjazdy pod Przełęcz Walimską i Niedźwiedziec, stroma ścianka w Rzecze i finał w sercu Sudetów zapowiadają walkę o sekundy. Dzień później zawodnicy wystartują z Rybnika i zakończą zmagania w Cieszynie, po drodze pokonując m.in. Przegibek i Przełęcz Salmopol. Etap piąty, najdłuższy w wyścigu (206 km), połączy Katowice z Zakopanem. Kolarze zmierzają się z legendarnymi podjazdami

– Kocierzem i Przełęczą Krowiarki – a zakończenie w stolicy polskich Tatr może przynieść niespodzianki. Tradycyjny „królewski etap” z metą w Bukowinie Tatrzańskiej rozegrany zostanie 9 sierpnia. Trzy pętle z trudnymi podjazdami pod Ścianę HARNAS, Ścianę BUKOVINA i Gliczarów to etap, który może zadecydować o losach klasyfikacji generalnej. Na tej samej trasie, ścigać się będą amatorzy podczas ORLEN Tour de Pologne Amatorów. Finał zaplanowano na 10 sierpnia – indywidualna jazda na czas przy Kopalni Soli „Wieliczka” (12,5 km) z podjazdem na początku trasy to ostatnia szansa na odwrócenie losów klasyfikacji.

Klasyfikacje i koszulki

Najcenniejszym trofeum pozostaje żółta koszulka lidera klasyfikacji generalnej ORLEN. Kolarze powalczą również o triumf w klasyfikacji górskiej PZU, najaktywniejszego zawodnika LOTTO, drużynowej DECATHLON i punktowej LANG TEAM a także premii ORLEN VITAY dla najlepszego polskiego zawodnika.

Tour de Pologne – coś więcej niż wyścig

Tour de Pologne to nie tylko zawodowe ściganie, ale także rywalizacja dzieci i młodzieży. Zawodniczki i zawodnicy rywalizować będą w kategoriach Żak oraz

Młodzik i walczyć o zwycięstwa etapowe oraz wygraną w klasyfikacji generalnej ORLEN – Sponsora Głównego Tour de Pologne Junior. Tuż po zakończeniu wyścigu elity mężczyźni odbędzie się także 3. Tour de Pologne Women – trzydniowe zmagania kobiet na trasach województwa lubelskiego. Wyścig będzie transmitowany w TVP 1, TVP Sport, Eurosporcie i na platformie streamingowej MAX – relacje trafią do widzów w 65 krajach, promując Polskę na całym świecie. Kto wygra 82. edycję Tour de Pologne i zapisze się na kartach historii wyścigu? Odpowiedź poznamy już 10 sierpnia!

82. Tour de Pologne 04-10.08.2025 UCI WORLD TOUR

I WROCLAW LEGNICA

II HOTEL GOŁĘBIOWSKI KARPACZ KARPACZ

III WAŁBRZYCH, POWIAT WAŁBRZYSKI

IV RYBNIK CIESZYN

V KATOWICE ZAKOPANE

VI BUKOVINA RESORT BUKOVINA TATRZAŃSKA

VII KOPALNIA SOLI „WIELICZKA” INDYWIDUALNA JAZDA NA CZAS



SPORT

www.sportowy24.pl

PIŁKA NOŻNA

W weekend rozegrana zostanie pierwsza kolejka w trzeciej lidze grupie drugiej.

Startuje sezon 2025/26 w rozgrywkach trzeciej ligi grupy drugiej. Zapowiada się bardzo interesująca rywalizacja o awans, ale także o pozostanie w tej klasie rozgrywkowej.

W trzeciej lidze do rozgrywek przystąpią tylko dwie drużyny z Pomorza. W roli gospodarza wystąpi Wikęd Luzino. Trzecioligowy beniaminek podejmie drużynę Wdy Świecie. To spotka-

nie rozpocznie się w sobotę o godz. 16. Cartusia Kartuzy zagra na wyjeździe z Victorią Wrzesnia. Ten mecz także odbędzie się w sobotę o godz. 16. (stan)

PIŁKA NOŻNA

Chojniczanka zagra pierwszy mecz u siebie.

Chojniczanka w drugiej kolejce rozgrywek drugoligowych podejmie Wartę Poznań. Początek meczu w niedzielę o godz. 19.30. (stan)

Lechia jedzie zatrzymać lidera!

Paweł Stankiewicz

pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Lechia Gdańsk straciła sześć goli w dwóch pierwszych meczach nowego sezonu PKO Ekstraklasy, co daje dramatyczną średnią trzech goli na jedno spotkanie.

Z Górnikiem defensywa zagrała w zmienionym składzie personalnym o połowę w porównaniu do poprzedniego sezonu, a z Lechem wystąpiło trzech nowych piłkarzy w tej formacji. Efektów brak.

- Z pewnością musimy być regularni i rozważni w tym, co robimy. Straciliśmy aż sześć goli w dwóch meczach i to jest problem, ale zapewniam, że ciężko nad tym pracujemy. Zrobiliśmy dużo analiz wideo, podczas których pokazujemy zawodnikom, jak powinni bronić. Ich podejście do pracy jest znakomite. Na tym polega moja praca, aby rozwiązywać takie problemy. Wszyscy ciężko pracujemy, a ludzie odpowiedzialni za transfery pracują nad tym, aby wzmocnić drużynę - przekonuje John Carver, trener Lechii.



Alvis Jaunzems musi zagrać znacznie lepiej niż w pierwszych meczach w Lechii

Defensywa gra w zmienionym składzie w porównaniu do poprzedniego sezonu. Na bokach obrony zamiast Dominika Piły i Miłosza Kałahura grają Alvis Jaunzems oraz Matus Vojtko, a przy sprowadzaniu tych piłkarzy słyszeliśmy opinię, że oni przede wszystkim potrafią bronić. Czas, aby

to pokazali. W spotkaniu z Lechem na środku obrony zagrał Maksym Diaczuk za Eliasa Olssona. Te wszystkie manewry kadrowe nie przyniosły żadnych efektów i obrona Lechii jak była dziurawa, tak jest w dalszym ciągu. Pewne rzeczy wymagają zgrania, ale drużyna jest w takiej sytuacji, że po-

prawy potrzebuje natychmiast.

- Matus i Alvis są z nami od niedawna. Wcześniej trenowali u innych trenerów, grali w różnych systemach i potrzebują czasu. Od pierwszego dnia pracy w Lechii bardzo się rozwinieli i widzę też progres w tym, jak bronimy dośrodkowań. To musimy jednak prze-

łożyć na mecze - przyznał szkoleniowiec zespołu z Gdańska.

Lechia potrzebuje też wzmocnień. Bramkarzem zespołu nie zostanie Muhamed Sahinović, który miał być wypożyczony z Rakowa Częstochowa, ale klub z Gdańska chciał zagwarantować sobie prawo wykupu, na co nie zgodzili się wicemistrzowie Polski. Poszukiwania zatem wciąż trwają. Pojawiła się też informacja, że Lechia jest zainteresowana sprowadzeniem Witalija Romana, lewego obrońcy z Ruchu Łwów. Choć w klubie na pewno bardziej skupiają się na znalezieniu jakościowego środkowego obrońcy.

- To nie jest żadną tajemnicą, że szukamy bramkarza, bo mamy tylko Szymona Weiraucha i Kacpra Gutowskiego. Mocno pracujemy nad tym, żeby się wzmocnić. Jeśli chodzi o inne potrzeby, to na pewno mamy za krótką kadrę na środku obrony. Właśnie obrońców potrzebujemy teraz najbardziej, bo w poprzednim sezonie mieliśmy czterech stoperów, a aktualnie jest ich trzech - powiedział Carver.

Przed Lechią bardzo trudny mecz. Cracovia świetnie pre-

zentuje się na początku sezonu, wygrała dwa mecze i jest liderem tabeli PKO Ekstraklasy. Poprzedzka w niedzielę powędruje bardzo wysoko.

- Jak tylko spojrzałem w terminarz, to wiedziałem, że czeka nas bardzo trudny początek sezonu. Pamiętam nasz wiosenny mecz w Krakowie i wtedy - moim zdaniem - zagraliśmy najlepsze spotkanie wyjazdowe odkąd pracuję w Lechii. Skład Cracovii nie zmienił się aż tak mocno. Mają nowego napastnika i trenera oraz Dominika Piłę. Rywale wygrali dwa mecze, więc dla nas to spotkanie będzie wyzwaniem. Stracili tylko jednego gola i są bardzo dobrze zorganizowani na boisku. Mamy swój plan i musimy ich zaskoczyć. Nie będzie nam łatwo o sytuacje bramkowe, więc jak już je stworzymy, to musimy być skuteczni i je wykorzystać. Liczę na to, że będziemy w Krakowie dobrze zorganizowani w grze obronnej - podsumował trener John Carver.

Lechia zagra na wyjeździe z Cracovią w niedzielę o godz. 14.45. Transmisja w Canal+ Sport 3.

©P

Mecz-laurka piłkarzy Arki Gdynia z Legią w Warszawie o ekstraklasowe punkty

Rafał Rusiecki

rafal.rusiecki@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Po sportowych konfrontacjach z Motorem w Lublinie i Radomiakiem w Gdyni piłkarzy Arki czeka wyjazdowy sprawdzian przy Łazienkowskiej.

Mecz z Legią Warszawa zapowiada się jako duże wydarzenie. Pierwszy gwizdek sędziego w niedzielę o godz. 20.15. Transmisja w Canal+ Sport 3.

Czy Arka Gdynia zdobędzie premierowy komplet punktów w rozgrywkach PKO Ekstraklasy 2025/2026? Czy żółto-niebiescy wykorzystają zaangażowanie wyżej notowanego rywala w eliminacje do Ligi Europy? Kto tym razem może błysnąć w zespole trenera Dawida Szwargi? Takie pytania zadają sobie fani Arki przed startem ligowym w Warszawie.

Niewątpliwie beniaminka PKO Ekstraklasy czeka bardzo

wymagający sprawdzian. Legia ubiegły sezon zakończyła dopiero na piątym miejscu w tabeli, co w Warszawie zawsze jest przyjmowane w kategorii dużego zawodu. Można się spodziewać, że to „Wojskowi” będą stroną napierającą, a gdyńianie nastawią się na próby szybkich kontrataków oraz szukania swoich szans po stałych fragmentach gry.

Te ostatnie okazały się bardzo dobrą receptą na świetnie dysponowanego fizycznie Radomiaka Radom. W 2. kolejce podczas meczu przy Olimpijskiej żółto-niebiescy rozgrywali dobre zawody przez około 60 minut. Umiejętności i zaangażowania wystarczyło tylko na remis 1:1. W Warszawie muszą lepiej rozłożyć siły, bo tak doświadczony rywal zawsze potrafi boleśnie obnażyć momenty słabości.

Chociaż to 3. kolejka ligowa, to Legia rozegra dopiero drugie spotkanie, a pierwsze przed

własną publicznością. To wynik rywalizacji warszawskiej drużyny w eliminacjach Ligi Europy. W pierwszej rundzie pokonała ona dwukrotnie po 1:0 kazachski FK Aktobe. Rewanż z Banikiem Ostrawa zakończył się po zamknięciu wydania gazety.

W Warszawie da się odczuć wyczekiwanie związane z pierwszym występem Legii w domu w ligowym meczu. Na trzy dni przed spotkaniem z Arką sprzedanych zostało 23,5 tysiąca biletów. Dostępnych jest 29 tysięcy miejsc, więc kolejny sold out jest bardzo prawdopodobny.

- Legia to jest taki klub, który zawsze wywołuje emocje. To jeden z większych klubów w Polsce, który bardzo elektryzuje wielu zawodników. To też jest taki mecz-promocja, mecz-laurka, w którym można sobie wystawić świetną ocenę. To także taki mecz pokazowy dla nas, o dużej oglądalności przez



Po dwóch występach gdynianie mają punkt

rzese kibiców. Nie pozostaje więc nic innego, jak dobrze się pokazać, dobrze się sprzedać jako drużyna i czerpać z tego profity. Mi jako zawodnikowi niejednokrotnie udawało się wygrywać na Łazienkowskiej, więc wiem, jak smakują te zwycięstwa. Wiem oczywiście, jak trudno jest je osiągnąć, ale wydaje mi się, że jest to do zrobienia, również z zespołem Arki - przekonuje Dawid Abramowicz, lewy obrońca żółto-niebieskich.

- Na pewno będzie to dla nas dobry sprawdzian. Nie ukrywam, że Legia to jeden z największych klubów w Polsce, przyciągający bardzo dużo kibiców. To spotkanie, w którym każdy chciałby zagrać. Po to walczyliśmy, aby awansować do ekstraklasy i aby grać takie mecze. Myślę, że nam musi to przyświecać, że chcemy grać takie spotkania - dodaje Kamil Jakubczyk, pomocnik gdyńskiej Arki. ©P